Nr. 38 (1445). Warszawa, 19 Września 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownych abonentów prosimy o przysyłanie prenumeraty na zbliżający się czwarty kwartał

Redakcja.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Przegrana stawka.

Pan Dmowski postawiwszy ostatnią stawkę na wszechsłowiańską kartę, gdy rzucił na nią bez zastrzeżeń losy polityki przedstawicielstwa polskiego, dziś nie bez pewnego lęku, do czasu maskowanego dobrą miną, patrzy na bezpośrednie następstwa tego lekkomyślnego kroku.

Chwila obecna jest dla niego wysoce krytyczną. Wzięto go we dwa — nie, we trzy ognie. Reakcja rosyjska domaga się wyciągnięcia ścisłych konsekwencji z wygłoszonego publicznie aktu abdykacji narodowej, z tego oświadczenia, które na naradzie słowiańskiej w Petersburgu wywołało przerażenie najskrajniejszej prawicy polskiej, a osłupienie prawicy rosyjskiej. Efektowna niespodzianka wywołała całkiem niepożądane i nieprzewidziane przez jej inscenizatora skutki; nie olśniła naturalnych przeciwników, a w wysokim stopniu rozgoryczyła naturalnych sprzymierzeńców, tych, którym p. Dmowski zawdzięcza szybkie wyniesienie się do tej wybitnej a odpowiedzialnej roli politycznej, którą tak niezdarnie odegrywa.

W kraju — te właśnie żywioły, których uczucie eksploatował w czasie kampanji wyborczej pozując się na uosobiony symbol narodowych aspiracji i interesu narodowego, z natury rzeczy najgłośniejszy podnoszą protest. One to bowiem zostały przez niego oszukane i zdradzone.

Goniec, w koło którego skupiają się odstręczone od narodowej demokracji grupy patryjotów polskich, najostrzejszą przeciw leaderowi Koła polskiego prowadzi kampanję. Daremnie pan Dmowski w swym organie insynuuje swemu przeciwnikowi jakieś ukryte, dalekie od interesu publicznego pobudki, daremnie chcąc pokrywać własne pomieszanie i lęk czyni butną minę i grozi demaskującymi rewelacjami. W opozycji *Gońca* nie ma nic tak osobliwego, by się nie dało wyjaśnić okolicznościami leżącymi na wierzchu i rzucającymi się w oczy. Jeśli ktoś—tak jak pan Dmowski—bawi się w podwójną grę, jeśli wewnątrz kraju, dla wyborców ukazuje fizjognomję nieprzejednanego patryjoty, obrońcy egoizmu narodowego polskiego, potępiającego bez zastrzeżeń wszelkie międzynarodowe sojusze, któreby niepokalaną czystość narodowego sztandaru przyćmić mogły, a w Petersburgu ukazuje wypogodzoną twarz Słowianina, który niczego nie zastrzega, a zatym wszystko daruje, przebacza, o wszystkim zapomnieć jest gotów, to musi być co najmniej przygotowany na pytanie, która twarz jest jego własną, a która tylko maską? Komu mówi prawdę, kogo oszukuje? Czy warszawscy wyborcy, czy też panowie Filewicze, Werguny, Krassowscy, Kramarze — znają go w jego naturalnej postaci? Niepodobna roli jawnego, legalnego przedstawiciela narodu grać metodami konspiracyjnymi, a kto w Warszawie uzurpował sobie prawo klasyfikowania własnych ziomków na pół i ćwierć Polaków, od tego co najmniej ma się prawo wymagać, by ich reprezentował na zewnątrz jako cały Polak, a nie jako Słowianin polskiego pochodzenia—w imię plemiennego braterstwa przekreślający jednym pociągnięciem pióra wszystkie te rachunki, które mu windykować polecono — gdy go do Petersburga wysyłano.

Pan Dmowski sam podciął gałąź, na której siedział, a obecnie oburza się, że ta gałąź trzeszczy i załamaniem grozi.

Zanim zaś wypełni swą pogróżkę i wystąpi z rewelacjami, po których się zresztą nic ciekawego nie spodziewamy, z innej strony już wychodzą na jaw rzeczy zdolne istotnie umysły poruszyć. Oto sędziwy i zasłużony Zygmunt Miłkowski, patryjota i demokrata, którego szczerej wiary i popularnej firmy tak długo nadużywała narodowa demokracja dla pokrywania swych szacherek politycznych,—oświadcza publicznie wobec zdemaskowania się ostatecznego polityki Koła polskiego, iż „z własnej winy stał się ofiarą" dwulicowej gry tych mężów stanu N.-D., którzy „błędy swe w ludzi jako prawdy wmawiać umieją", gdyż „nie nauczył się odparowywać ich argumentów inaczej jak dymisją". Po bezskutecznej obronie ostatnich stutysięcy franków ze skarbu narodowego, z funduszu zbieranego przeważnie wśród biednych kolonji emigranckich polskich na tułaczce, z ofiarnych groszy, w których się wyrażała rzewna tęsknota za „starym krajem", sędziwy Jeż czyni rodzaj aktu żalu i skruchy widząc, jakiemu celowi służyła ta jego niegdyś wymarzona i umiłowana instytucja. Zawsze ta sama bolesna powtarza się historja: wyznawcy idei znoszą na jej ołtarz ofiary, a Kalchasi przyrządzają z nich uczty dla siebie.

Bardzo a bardzo to nieszczęśliwy zbieg okoliczności dla p. Dmowskiego, że właśnie w chwili, gdy zaryzykował najwyższą stawkę, wszyscy zgłaszają się do niego z nagłą likwidacją rachunków:

„Gdzie twój patryjotyzm słowiański bez zastrzeżeń, gdzie twa czuła opieka nad państwowością rosyjską?"—pyta rosyjska reakcja.

„Gdzie twój iredentyzm narodowy?" — wołają wczorajsi sprzymierzeńcy w kraju.

„Gdzie obrona idei narodowej, na którą poświęcała swe wdowie grosze emigracja polska?"—pyta patryjarcha tejże emigracji.

Więc próbując jeszcze przy tak nieszczęśliwej grze miną nadrabiać—odpowiada organ pana Dmowskiego szeregiem pytań zwróconych pod adresem *Gońca*, a dających się streścić w jednym: „Co zrobilibyście na naszym miejscu?" Po pytaniach następuje najciekawszy ustęp, coś niby w rodzaju pogróżki, ostrzeżenia, czy propozycji:

„Czas nagli. Wywczasy letnie się skończyły, czas wziąć się do wytężonej pracy i społeczeństwo musi wiedzieć, na jakiej drodze ma pracować. Z drugiej strony niezadługo zbiera się Izba Państwowa i posłowie nasi wyjadą do Petersburga. Jeżeli zdanie panów z *Gońca* będzie światłe, jeżeli ich program będzie racjonalny, może i my się przekonamy. Wtedy przestaniemy popierać politykę naszego przedstawicielstwa, a może je nawet wezwiemy do złożenia mandatów".

„Jeżeli"...? Cóż to znaczy? Kto oceni, czy zdanie *Gońca* będzie światłe? *Głos Warszawski?* A zatym organ Koła sam wyda wyrok, czy krytycy Koła mają słuszność?

Ten sam *Głos Warszawski*, który kilka dni temu odrzekał się roli „politycznej guwernantki narodu", wypisze cenzurę z rozumu politycznego swym przeciwnikom.

To albo żart, albo nowa maskarada, albo wreszcie uboczne przyznanie, że się już zupełnie grunt pod nogami straciło i że czas wycofać się w porządku.

Sposób postawienia kwestji jest zresztą tak mało poprawny z punktu widzenia konstytucyjnego, że sam przez się świadczy o całkiem „niedostatecznym" stopniu wykształcenia politycznego panów z *Głosu Warszawskiego*. Nie o to chodzi, co dana redakcja uznać raczy za racjonalne, czy nie racjonalne, lecz o to, czy przedstawicielstwo polskie w Petersburgu posiada moralne prawo przemawiania w imieniu tych, których reprezentuje, czy dzisiejsza opinja publiczna kraju popiera jego politykę i solidaryzuje się z nią tak, jak się solidaryzowała przynajmniej w swym dość licznym odłamie w chwili, gdy je mandatami obdarzała, a dalej—czy jest gotowa dyskontować w kraju wystawiane w Petersburgu przez swych pełnomocników weksle gratisowego pojednania i polskiej abdykacji bez zastrzeżeń na rzecz Słowiańszczyzny? W przeciwnym bowiem razie tracą głosy posłów polskich wszelkie znaczenie, a ich zobowiązania wszelką wartość.

Jest to tem ważniejsze w chwili, gdy prezes Koła polskiego uniesiony właściwą mu megalomanią dąży — (o! ironio) do pchnięcia polityki zagranicznej Rosji w kierunku słowiańskim i antyniemieckim!! gdy wziął na swe wątłe barki obronę dobrze zrozumianego interesu państwowego Rosji i zapewne spróbuje dowodzić, że go rozumie lepiej niż inni obrońcy, włączając w to istinno-ruskich związkowców, odrodzenie pokojowe, październikowców, a nawet sam gabinet p. Stołypina wraz z ministrami, nie wyłączając pana Szwarca, co do których niema przecież wątpliwości, że na antyniemieckie, ani słowiańskie tory ani zewnętrznej, ani wewnętrznej polityki rosyjskiej nie pchają.

Wierzymy, że zwalczanie Niemców w Cesarstwie rosyjskim mniej wymaga odwagi i pociąga ryzyka, niż zwalczanie bliższych przeszkód, tamujących rozwój naszego narodu; wierzymy, że usiłowanie wpływania na politykę zagraniczną Rosji, jako znacznie mniej mające widoków realnych jest też rolą mniej odpowiedzialną niż oddziaływanie na jej wewnętrzne przeobrażenia. Zawsze w takich wypadkach służy wymówka, użyta niegdyś przez p. Rozbickiego, gdy mu się nie udało przejść przez dziurkę od klucza: „Chciałem, ale nie mogłem". Nikt w tym zakresie od p. Dmowskiego tryumfów nie oczekuje i realnych zdobyczy nie żąda.

Wiemy, że gdy chodzi o interes państwowy rosyjski — bez względu na to, czy będzie miał rację czy nie — pan Dmowski konkurencji z biurokracją rosyjską nie wytrzyma, choćby najuporczywiej zapewniał, że stoi na gruncie dziś istniejącego ustroju i choćby uniknął kłopotliwej odpowiedzi na pytanie, jaki jest ten ustrój, tj. „czy—chwała Bogu—mamy konstytucję, czy jej—chwała Bogu nie mamy". Nie sądzimy także aby p. Izwolski tak łatwo zechciał wyręczyć się p. Dmowskim w swoim departamencie i otworzył mu pole do pracy nad izolowaniem Niemiec i osłabieniem ich wpływu w europejskim koncercie.

Nie to jest przecież zadaniem przedstawicielstwa polskiego, a jeśli je pan Dmowski tak rozumie, to dowodzi, że powołanie go do tak ważnej politycznej misji polegało na opłakanem nieporozumieniu.

I. Moszczeńska.

GALICJA.

Fr. Bujak: t. I. (Kraj, Ludność, Społeczeństwo, Rolnictwo). Lwów—Warszawa, 1908, str. 562.

Dzieło Franciszka Bujaka, docenta Wszechnicy Jagiellońskiej, doczekało się przez parę miesięcy, które upłynęły od ukazania się jego na półkach księgarskich, tylu sprawozdań, tylokrotnie było omawiane i cytowane, że zbytecznym się niemal zdaje zwracać na nie uwagę czytelników *Prawdy*. Czynię też to tylko ze względu, iż dzieło to jest doniosłym wypadkiem publicystyczno-naukowym w naszej literaturze.

W okresie monografji, dotyczących pojedyńczych kwestji czy kwestyjek, a zatym w chwili gdy stawiamy wysokie wymagania pod względem dokładności i ścisłości informacji nie jest łatwo przedstawić całokształt stosunków danego kraju. A jednak takie prace niezbędnymi były dla każdego z naszych zaborów, w każdym bowiem najszczerzej pojęta polityka społeczna stwarzać dopiero musi typ nowoczesnego życia, przystosowywać go do potrzeb społeczeństwa, a jednocześnie stwierdzać, jak daleko pozostaliśmy wtyle poza rozwojem bliższych i dalszych sąsiadów z Zachodu. Na monografję Galicji czekaliśmy najdłużej, pomimo, że w porównaniu z Królestwem obfitszymi były tu materjały drukowane, że Galicja od paru lat dziesiątków posiada krajowe i miejskie biura statystyczne, że statystyka austryjacka nie mogąca wprawdzie wytrzymać porównania ze statystyką An-

---

Leon Rygier.

WIDMA.

Przez moje niskie, mansardowe okno naiwnie i ciekawie zaglądają różowe promienie świtu... Podnoszę się na łóżku i oczy z tęsknotą obracam ku słońcu...

Sny miałem takie dziwne... Jak opar niezdrowy i odurzający otacza mię jeszcze ich wspomnienie... Kształty nikłe, rozwiewne; dźwięki słodkie i boskich obietnic pełne; wonie subtelne, narkotyczne, które szepcą o śmierci i miłości...

I oto obudził się wschód... Niebo jest jasne, przezrocze, perłowo-błękitne — tylko tam, w dali, grają blaski gorące, złote, purpurowe... Tak czasem w duszy dziewiczej obudzi się nagle myśl ogniowa i na tło jej łagodne rzuci snop barw niepokojących...

A dusza zrywa się — i ramiona wyciąga ku wizjom, snom, mirażom łudzącym — i nieziemsko, choć grzesznie, zbrodniczo pięknym...

Nie wiem, dlaczego czuję w oczach łzy... I pod gardłem je czuję, duszące i słone... A oczy moje lecą ku słońcu — i całe jestestwo wypełnia mi rzewna słodycz półsennej ekstazy... Chciałbym słuchać teraz szmeru gajów i potoków—a wśród nich niechby dźwięczał młody głos kobiecy, czysty i wibrujący w powietrzu, jak kryształowa pieśń górskiej kaskady...

Dziwna!... Oto jest dzień — a gorzkie, bolesne pytanie nie stanęło jeszcze przy moim łożu...

Wszakże nie zmieniło się nic... Jak byłem zawsze, tak jestem i dzisiaj słabą i wątłą trzciną, grającą u nieskończonych wód... Lada wicher zgiąć i złamać mnie może, lub zasypać brutalnie żwirem i piaskiem... Jak zawsze, tak i dzisiaj nie mam na całym bezmiarze świata ani jednej piędzi ziemi, gdzie bym mógł schronić się spokojnie przed wieczną wrzawą istot, walczących o byt... Jak zawsze, tak i dzisiaj słabą pieśń moją zagłuszyć może świst bicza, spadającego na moje plecy heloty. I jak zawsze, tak i dzisiaj, dusza moja wzdryga się na myśl o fałszu, co by mi pozwolił jednym „tak" obronić się przed tymi, którzy nienawidzą mojego „nie"...

Czemuż więc nie wlepiam tępego wzroku w szare ściany pokoju; czemu nie gardzę sobą, że muszę wzdychać głęboko, i boleśnie, i beznadziejnie...

. . . .

...Ach — już wiem!... Śniło mi się dzisiaj szczęście!... Bo i heloCie ukazuje się ono we śnie, stokroć wspanialsze, stokroć pełniejsze, aniżeli królowi na jawie... Bo śnione tylko, a nie ziszczone... Bo jako idea czysta — bez karykaturalności konkretu... Bo pożądane wreszcie największym pożądaniem beznadziei...

Śniło mi się dzisiaj szczęście... A więc nie zerwę się z barłogu, by powlec się, jak pies, po odpadki z pańskiego stołu wybrańców, nie będę przeżuwał goryczy upokorzeń i zawodów; nie będę się uśmiechał uprzejmie wtedy, gdy serce krzyczeć chce, i wyć, i samo siebie kąsać w skorpionowej męce — ale urządzę sobie ucztę nad uczty, wobec której zblednie przepych Heliogabalowych orgji...

. . . .

...Wejdź, słońce, do moich komnat królewskich!... Wejdź, słońce, — podczaszym

gji, Stanów Zjednoczonych czy bodaj Francji i Włoch stoi o całe niebo wyżej od rosyjskiej, że kraj i rząd już od paru lat dziesiątków rozpoczęły reformy gospodarcze i społeczne. Pomimo to, a może właśnie dlatego, autor zmuszony był przerabiać samodzielnie każdą kwestję i stworzyć sobie metodę specjalną. Chodziło bowiem nietylko o zgromadzenie i usystematyzowanie materjałów urzędowych, publicystycznych i monograficznych, ale o ich pogłębienie i uplastycznienie. Nie dość znać stan kraju i społeczeństwa, należy jeszcze zbadać jego potrzeby, żądania, kierunek rozwoju w najbliższych latach. W taki sposób do opisu Galicji dodano program polityki gospodarczo-społecznej dla tego kraju. Przedstawiwszy jak jest, Fr. Bujak zastanawia się jak być powinno, stawia desiderata, wypowiada rady, wskazuje drogi. Książka o Galicji świadczy nietylko o naukowym przygotowaniu, czego spodziewać się należało od autora monografji Maszkienic, Żmiącej i Limanowej, Budżetu chłopa i t. d., nietylko zdradza wytrawnego publicystę, ale jest dowodem prawdziwie obywatelskiego traktowania zawodu pisarza. Takim jest przynajmniej tom I, po którym dalszych oczekiwać należy z prawdziwym zaciekawieniem.

Przyjrzyjmy się bliżej wywodom autora. Porównywając naturalny przyrost ludności. w Galicji. autor stwierdza, że jest ona już dzisiaj przeludniona, i wysyłać musi na emigrację trzecią część rocznego przyrostu. Ludność ta ma charakter przeważnie wiejski, a w miastach ponad 10 tysięcy mieszkańców mieszkało zaledwie 9,5%. W tym punkcie dane Bujaka różnią się od przytaczanych przez niego zestawień Wł. Czerkawskiego, a brak wyjaśnienia tej niezgodności.

Odsetki ludności w wieku produkcyjnym są w Galicji niższe niż w innych krajach austryjackich (56,3 wobec 58,4%), co naturalnie wypada na jej niekorzyść i stanowi jedną z przyczyn ubóstwa i powolnych postępów kultury. Innych przyczyn nie braknie, a należy do nich skład narodowościowy i wyznaniowy tej ludności. Autor obszerne rozdziały poświęca kwestji ruskiej i żydowskiej. Przyznać trzeba, że jak w jednej tak i w drugiej zająć się stara stanowisko bezstronne, i zbadać przyczyny smutnego zatargu narodowościowego w Galicji wschodniej. Tym większego znaczenia nabiera wniosek, że widoki na przyszłość elementu polskiego we wschodniej Galicji nie są pomyślne, ponieważ z kwestja narodowościową utożsamia się wielekroć kwestja społeczna. Wielcy właściciele, zamożniejsze mieszczaństwo, liczna inteligiencja zawodowa, a zatym najwyższe piętra budowy społecznej, to element polski, gdy większość włościaństwa (wśród Rusinów znajduje się 95% ludności rolnej) stanowią Rusini, których świadomość narodową i niezadowolenie społeczne rozbudza w sposób dla Polaków nienawistny duchowieństwo ruskie i młoda ruchliwa ruska inteligiencja.

Autor, pragnący wzmocnienia naszego stanu posiadania na Rusi, nawołuje do unarodowienia ludności wiejskiej rzymsko-katolickiej, tak długo zaniedbanej, która jest oczywiście polską i liczy się na 1,093,000. Ludność ta ma dla siebie mniej szkół i kościołów katolickich, niżby to wynikało z jej liczebności i oczywiście ratowaną być powinna.

Z tem zgodzi się każdy Polak. Podobnie zgadzamy się z autorem, co do jego żądania szerokiej prawdziwie demokratycznej polityki i reform gospodarczych, które wyszłyby na korzyść zarówno polskiemu, jak i ruskiemu narodowi.

Nie możemy przecież przystać na żądanie, aby rozdział zasobów i środków publicznych na potrzeby kulturalne obu narodów dokonywał się na podstawie płaconych przez nich podatków. Według zestawień Głąbińskiego płacą Polacy koło 71% podatków bezpośrednich a Rusini 29. Nie sądzimy, aby dało się przeprowadzić podobne zestawienie dla podatków pośrednich, a tu przy czterokrotnie wyższej liczebności elementu ruskiego podział wyglądać by musiał inaczej. Czy zatem nie lepiej opuścić kruchą podstawę podatkową i żądać stosowania świadczeń kulturalno-społecznych według liczebności i rozsiedlenia obu narodów?

P. Bujak podnosi ciekawy, a nowy dla nas fakt budzenia się u rodzin magnackich w Galicji wschodniej sympatji i solidarności ruskiej. Byłoby to jednym więcej dowodem, jak nieodporną narodowo jest szlachta i ostrzeżeniem dla tych coraz rzadszych już wielbicieli białych dworów szlacheckich, które są rzekomą ostoją polskości. Lud polski raczej odpowiednio uświadomiony i kulturalny okaże się we wschodniej Galicji taką samą ostoją narodową, jaką pozostał przez długie wieki na Śląsku.

Zbyt optymistyczną wydaje nam się nadzieja autora, co do asymilacji ludności żydowskiej. W Galicji ludność ta jest przeważnie obcym elementem w polskim społeczeństwie i to nietylko ta jej część, która podlega wpływowi kahału i wychowuje się w chajderach, ale i postępowi, oświeceni sjoniści, którzy z pogardą wielokroć patrzą na naszą kulturę i nie podzielają aspiracji narodowych.

Przed paru dziesiątkami lat sprawa asymilacji stała korzystniej, gdyż nie rozbudził się był jeszcze narodowościowy ruch żydowski Ma on to samo uprawnienie, co i każda inna fala narodowej samowiedzy, jakkolwiek w obecnej swej fazie wielkim jest dla społeczeństwa naszego niebezpieczeństwem. W Galicji pewne zawody liberalne zdają się przechodzić całkowicie do izraelitów. I tak gdy ludność izraelicka stanowi 11%, to procent Żydów w szkołach średnich wynosi 20. Z tego może powodu w zawodach umysłowych wypada w zawodach liberalnych na 1000 osób czynnych 8 izraelitów, w Galicji zachodniej nawet 10, a tylko 2 Polaków, obok nie dającej się ująć w tym stosunku drobnej garstki Rusinów, wśród urzędników państwowych, krajowych i gminnych 13%, a zatem 2 ponad procent ludności izraelickiej i t. d. W 8 grupach zawodowych jak wyrób napojów i wyszynki, handel towarowy, pośrednictwo handlowe, przerób metalów, przemysł chemiczny, skórzany i papiernictwo, wyrób artykułów spożywczych i komunikacje wodne stanowi ludność izraelicka w Galicji więcej niż połowę wszystkich zawodowo czynnych. [1])

W tych stosunkach asymilacja elementu izraelickiego jest dla nas sprawą niesłychanie żywotną, ale ten element czyni właśnie postępy w aspiracjach narodowych żydowskich i każdy krok naprzód w kulturze wychodzi na korzyść odrębności, nie asymilacji.

Wielką zaletę dzieła Bujaka stanowi, że opisując stosunki nie trzyma się on kategorji ustanawianych przez teorję, ale raczej opiera się na bezpośredniej obserwacji. Kategorje te bowiem ustanowione według stosunków panujących na zachodzie, nie odpowiadają galicyjskim. I tak np. ustrój stanowy w Galicji silnie już jest podkopany, a klasowy z braku odpowiednich elementów, t. j. burżuazji wielkoprzemysłowej i małej liczby robotników dotąd nie zapanował. D-r Bujak podawszy w krótkości najważniejsze dane urzędowe jak np. w rolnictwie pracuje 77% ludności, w przemyśle 9, a w handlu 8, przedstawia ustrój społeczny, omawiając najważniejsze jego elementy

1) D-r J. Buzek. Stosunki zawodowe i socjalne w Galicji. Część cyfr cytowana u Bujaka.

---

moim będziesz!... Złote wino mi podasz na stół — złote, kipiące wino...

Rozszerzcie się ściany w długą, głęboką perspektywę korynckich kolumn... Niechaj ozdobią was u szczytów misternie rzeźbione liście akantu...

W pośrodku wspaniałego atrium niechaj zaszumi fontanna; złote ryby niech się pluszczą w basenie, odbijającym lazury południowego nieba...

A dokoła wstawcie mi stoły i ławy na lwich łapach, skórami zwierząt dzikich okryte... Zawołajcie fletnistów i tancerki, i zapaśników silnych, jak tury... Sproście gości moich ulubionych: Cezara, Sokratesa, Marka Aureliusza, piewcę miłości, za miłość wygnanego do Scytów, Safonę boską, omdlewającą w pożarze słodkich żądz, Anakreonta, Aspazję, mądrą, jak sowiooka Atene...

Bo i ja chcę mówić o rzeczach mądrych i pięknych, chcę poić się widokiem kobiet szlachetnych, chcę pić wino... pić wino...

. . . .

A teraz, niewolnicy, sypcie kwiaty!...

Róże olbrzymie i wonne, purpurowe i białe, świetne i czyste, świeże i czarem śmierci upajające... Smukłe irysy lila o łodygach do wężów i konarach do paszcz dziwacznych zwierząt podobnych... Mirty i pomarańcze, oliwne gałązki i dębowe liście... A i cyprysu trochę: myśl o śmierci piękna jest, jak widok na morze w nocy...

. . . .

Słodką pieśnią wezbrało moje łono,
Chociaż wicher tumany śniegu miecie...
Róż szkarłaty przed wzrokiem duszy
[płoną —
Italskie kwiecie...

Dumne czoło imperatorskiej córy
Na pierś moją marzenia rozkaz chyli...
Ginie z oczu kraj zimy, kraj ponury;
Ptak w gaju kwili...

Groźne oczy podobnej bogom dziewy
Skrzą się blaskiem gwiazd złotych w noc
[rozkoszy...
Zdradny Eros za nic ma możnych gniewy:
Któż jego spłoszy?...

Pachną wieńce, na czołach nam więdnące...
Pachną wieńce — lecz włosy twoje bar-
[dziej...

—O nie... Nie mów... nie mów ani o rozłące
Dziś jutrem gardź!...

Raz mi jeszcze na szyję rzuć ramiona,
Obręcz słodką, co pieszcząc, dławi ra-
[mię —
Jutro sama przyślesz mi centurjona
Z śmierci rozkazem...

. . . .

Snie mój błogi — dlaczego wieścisz maje,
Kiedy wiosna całunem śniegu skryta?...

. . . .

Gdy się skarżę, lód zimny we łzy taje,
I płacze Scyta...

. . . .

O słodka strofo alcejska!... O cudny, miękki, pieszczony głosie kochanka Julji Augusty...

. . . .

...Mówi Sokrates... Prowadzi djalog, pełny błysków gienialnej mądrości, nieubłaga-

jak duchowieństwo, nauczycielstwo, większych właścicieli ziemskich, drobnomieszczaństwo, inteligencję i lud. (Rozdziały te drukowane już były w *Ekonomiście Warszawskim*). Wśród tych charakterystyk najlepiej wypadły dwie ostatnie, sfer, jak się zdaje, osobiście znanych autorowi.

Inteligiencja a zatem urzędnicy i przedstawiciele wolnych zawodów, pochodzi już dziś w Galicji ze wszystkich sfer społeczeństwa, jak to widać np. z zestawienia słuchaczów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na ogólną liczbę 2,892 było w 1906 r. 366 synów włościanskich, 187 rzemieślników i małomieszczan, 123 służby i niższych urzędników, oraz 468 stanu bliżej nieokreślonego, to znaczy, że blizko połowa słuchaczów pochodzi z warstw ludowych na wsi i w mieście. Napływ włościan do uniwersytetu, a zatem do zawodów umysłowych, słusznie objaśnia d-r Bujak brakiem przemysłu, któryby absorbował jednostki zbyteczne w gospodarstwie rolnym lub do pracy na roli nie usposobione. Inteligiencja ta jest mało kulturalna, bez samodzielności politycznej i nieuspołeczniona; porownanie z inteligiencją ruską nie wychodzi na korzyść naszej.

Zajmijmy się przepowiednią autora, iż wkrótce nastąpić musi emigracja inteligiencji z Galicji, gdyż ma ona wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Wobec coraz intensywniejszego dopływu do wyższych zakładów naukowych słuchaczów ze wszystkich warstw społecznych, wobec zwiększającej się szybko liczby kobiet na uniwersytetach, musiałyby kulturalne potrzeby społeczeństwa galicyjskiego wzrastać w znacznie szybszym tempie, niż się to dzieje dotychczas, aby te nowe zastępy znalazły w kraju zatrudnienie. Przemysł budzi się wprawdzie, przewidywać zatym można wzmożenie się kierunku technicznego, który dziś stoi znacznie w tyle poza literackim i naukowym, poza prawem, medycyną i teologją. Autor pragnie tego, ale uznaje jak małym jest dotąd zapotrzebowanie tego przemysłu na siły inteligienckie. Poszukiwanie zarobków i zadań życiowych poza krajem nie byłoby zdaniem autora złym, bo emigranci powracaliby z doświadczeniem życiowym i kapitałami. I znów zarzucilibyśmy autorowi optymizm. Jak widać z doświadczeń dotychczasowej inteligiencji polskiej poza krajem, warunki zarobkowania są dla niej wiele trudniejsze, niż dla robotnika, czy włościanina. Wykwalifikowany robotnik znajdzie zawsze zarobek zagranicą, na pracę rąk wyrobniczych ludu naszego zjawiają się coraz nowe zapotrzebowania, tymczasem inteligient, nawet technik przeważnie gorzej wykwalifikowany od Francuza czy Anglika, ścierać się musi na Zachodzie z warunkami jeszcze trudniejszymi, niż u nas. Przewidywać można że trudności te będą wzrastać i że w każdym kraju naukowe studja coraz częściej nie będą doprowadzały do odpowiedniego dla nich zużytkowania. To też los inteligientnej emigracji zapowiada się coraz gorzej, jeżeli nie zrzegnuje ona z zajmowania zawsze uprzywilejowanych zawodów.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

(d. n.)

Uspołeczniona wieś.

Dużo mroków, dużo sobkostwa, dużo lenistwa duchownego i biernego poddania się losowi spotkać można w wędrówce po wsi polskiej wśród włościan. Zdarza się jednak już dzisiaj, że tu i owdzie są już nie pojedyncze jednostki ale wsie całe, dążące wielkim wytrwałym pędem ku uspołecznieniu i wyższej kulturze. Taką wsią, która ku postępowi na całej linji zmierza, jest wieś gospodarska Kacice o 4 wiorsty od Pułtuska położona. Niewiele w niej ludzi, bo wieś liczy zaledwie 40 dymów, ale każdy kto w granice tej wioski wjedzie, uderzony jest odrazu innym widokiem, „świat tu odmienny" naprawdę jak mawiał stary Pol. A odmienność jego, polega na tym, że światek ten bliższy jest temu wszystkiemu, co miano postępu nosi. Dość rozejrzeć się po polach, aby zrozumieć, że na tych gruntach gospodarują ludzie, którzy potrafią już ziemię uprawiać według nowych udoskonalonych sposobów, że siew rzędowy, nawozy sztuczne są tu w użyciu, a pola obsiane są doborowym gatunkowym ziarnem. Gdy pierwszy raz zobaczyłem grunta kacickich gospodarzy, nie chciałem wierzyć, że tak mogą gospodarować już u nas włościanie, ale gdy się przekonałem, że są między nimi oświeceni agronomi, obeznani z przyrodą i chemją rolną, i meteorologją, przestałem się temu dziwić.

A więc zanim się dojedzie do wsi, sam widok gruntów do jej mieszkańców należących dobrze usposabia i do dalszych obserwacji zachęca.

Wjeżdżamy w opłotki szeroką ulicą. Każda chata tonie w zieleni sadu, tu i owdzie widać porządnie prowadzone szkółki drzew owocowych i pasieki, i duże ogrody warzywne. To wychowańcy szkoły w Pszczelinie w dalszym ciągu krzewią na gruncie wsi rodzinnej zamiłowanie do sadownictwa, warzywnictwa i pszczelnictwa. Chaty obszerne, widne, o dużych oknach z ganeczkami wyglądają jak dworki zagrodowej szlachty. Podwórka i całe gospodarskie zabudowania schludnie utrzymywane, płoty w całości. Snać poszanowanie dla cudzej własności jest tutaj duże, robię na ten temat uwagę. Odpowiadają mi z pobłażliwym uśmiechem, że siódme przykazanie z dekalogu jest tutaj w czynie pełnione nawet przez małe dzieci w stosunku do owoców z ogrodu sąsiada. „To dowód dużej kultury— mówię.

— A tak, my to wiemy, ogromnie trudno było nam z początku przyswoić sobie ten dobry nałóg. Ale dziś wysiłki w tym kierunku należą już do tradycji.

— A procesujecie się często jeszcze?

— Od lat 10-ciu nie było u nas ani jednej sprawy sądowej.

— Cóż to? w aniołów zmieniło was tak nagle praktykowanie gorliwe 7-go przykazania, pytam z mimowolną ironją". Informujący mnie młody chłopak o szczerej twarzy odpowiada spokojnie.

— Do aniołów nam daleko, ale przyszliśmy do przekonania, że wynikłe między nami sąsiedzkie spory może równie dobrze, sprawiedliwie i bezstronnie sądzić „sąd polubowny", no i od lat dziesięciu sami się rozsądzamy i dobrze nam z tym.

— A spory takie trafiają się często.

Coraz rzadziej, bo coraz większe życie następuje wśród nas samych w miarę uświadamiania nieświadomych, coraz większa harmonja idejowa wśród nas się krzewi.

— Wiem, wiem mówiono mi o Waszej działalności społecznej, mówiono mi o Waszej Spółce Rolniczej, przy której ludzie wyrabiają się nietylko na handlarzy ale i na kulturników w całym znaczeniu tego słowa.

— Robimy co uważamy za swój święty obowiązek, nie tyle, ileby dusza zapragnęła zapewne, ale idziemy ciągle naprzód.

— Cóż wy tu macie?

— Ano mamy Spółkę Rolniczą, którą od roku zmieniliśmy w Kółko Rolnicze Staszicowskie. Kupujemy więc razem nawozy sztuczne, nasiona, maszyny. W tym roku nabyliśmy dla wspólnego użytku tryjer, jest to narzędzie, którego nawet okoliczne dwory nie mają, ale to też naogół nasi najbliżsi sąsiedzi z dworów gospodarują zacofanie. Dość powiedzieć, że kupują od nas do siewu pszenicę i owies. Bo trzeba panu wiedzieć, że my ujednostajniliśmy hodowlę zbóż. Cała wieś sieje u nas jeden najodpowiedniejszy dla nas gatunek pszenicy, owsa, żyta. Jak czego nie wiemy, radzimy się specjalistów agronomów, pism rolniczych i książek, urządzamy sobie odczyty z dziedziny wiedzy rolnej.

— Wiem o tym, mówił mi p. Antoni Sempołowski, któregoście kiedyś o odczyt prosili, że zastał u was taką wysoką kulturę rolną i taką znajomość chemji rolnej, że zu-

---

ny w niezomylności świetnych syllogizmów... Dowodzi swego sławnego równania, że rozum = cnota = szczęście...

Aspazja patrzy mu w oczy chłodną, przenikliwą stalą swych mądrych, głębokich, dwa jeziora zastygłe przypominających źrenic... A Safo zwilża winem purpurowe, nieukojoną gorączką płonące wargi...

Mówię do niej:

— Boska... Wiem, że tęsknisz po Anaktorji... Strawi cię, spopieli ten ogień okrutny.. Pójdź do mnie... U stóp twoich korzyć się będę i pieśni twej wtórzyć westchnieniem rozkoszy, jak fala Eolowi, jak echo fletni...

Ona uśmiecha się blado — a niewolnik rozkochany rzuca na jej krucze włosy wieź róż, płomieniem zabijających...

Ona uśmiecha się blado—i na czarne djamenty oczu, śmiertelnie pięknych, opuszcza jedwabne zasłony rzęs okrutnych... Czuję, jak mi te dwa czarne motyle siadły na sercu — i piją zeń krew, niby sok z kwiatów...

— Umrę. Safo!...

Poruszyły się wargi drżące szeptem ledwie dosłyszalnym:

— Ja umieram co dzień, co godzina, co chwila...

Przeciągnęła ramiona barwy dojrzałego owocu oliwy i, załamując rozpacznie dłonie, do konch perłowych podobne, powtórzyła raz jeszcze:

— Co chwila!...

A we mnie zgasła żądza — żądło bólu zgnęło mię w samo serce...

. . . .

Ale oto podniósł się Anakreont... Na siwych jego włosach płonił się wstydliwie wieniec róż, rozkochanych w młodem sercu starego pieśniarza... Podniósł się i skinął na złotowłose, różowe pacholę, podobne do Erosa...

— Podeprzyj mię — szepnął pieśniarz: pijany jestem!...

Pacholę z figlarnym uśmiechem podbiegło spełnić rozkaz.

I oto popłynął czysty, dźwięczny śpiew:

Już idzie noc, przebłoga noc,
Słodyczą mirtów tchnąca...
Nieznana moc, okrutna moc
Miecz łamie, tarcz wytrąca...

Jak świeżą krwią, szkarłatem lśnią
Sperlone rosą róże...
I serca drżą, i skronie drżą,
Jak światła na marmurze...

Przenika w krew muzyka, śpiew...
Z win opar idzie złoty...
I boskich dziew, tańczących dziew
Wśród kwiatów wieją sploty...

A z góry, hen, z niebieskich den
Mżą blaski opalowe,
I szczęścia sen, rozkoszy sen
Płonącą chyli głowę...

Aresie — precz... Oddaję-ć miecz,
Oddaję hełm kowany...
Kto chcesz mi przecz — najsłodsza rzecz,
Gdy człowiek jest pijany...

. . . .

pełnie się nie dziwi, iż wy tu myślicie o założeniu wzorowej hodowli nasiennych zbóż i o małej stacji doświadczalnej.

Kocickiemu społecznikowi zabłysły oczy.

— A tak, to jest ukochane nasze pragnienie, abyśmy z czasem stali się tą praktyczną szkołą rolniczą poglądową dla drobnych rolników.

— Podobno grunta wasze są już długoletnią uprawą, pod podobną przyszłość dobrze przygotowane.

— Staramy się o to, aby w czystą ziemię siać czyste ziarno.

Narazie jednak brak środków nie pozwala nam zacząć; mamy ciągle wydatki bieżące niezbędne. Ot teraz postawiliśmy szopę dla straży ogniowej, która będzie zarazem naszym domem ludowym.

Chodźmy ją obejrzeć?

Idziemy.

Duży budynek w stylu zakopiańskim mile uderza w oczy prostotą, a zarazem surową wytwornością linji. W szopie stoją beczki i sikawki. Ale stoją i ławki. Łatwo z niej każdej chwili zrobić salę posiedzeń lub miejsce do wysłuchania odczytu. Na froncie prosty z duchem chłopskim doskonale sharmonizowany napis.

„Bogu na chwałę ludziom na pożytek".

— I was mają za bezbożników, robię [illegible]

— Ano tak, bo mamy odwagę wierzyć tak, jak Chrystus nauczał, a niezawsze tak, jak dziś nauczają jego słudzy; mamy odwagę czytać wszystko. U mnie w mojej bibljotece znajdzie pan i Renana, mamy odwagę należeć do wyklinanych z ambon Kółek Staszica i do Pułtuskiego Koła Kultury.

— Mam nadzieję, że niewiele sobie robicie z tych wyklinań.

Wymowne machnięcie ręką było odpowiedzią na to pytanie.

Próbowano was jednak z pewnością odciągać od tych instytucji.

— Naturalnie, ale myśmy dali wyraźnie do zrozumienia, duszpasterzom, że to będzie praca daremna, a ze my idziemy „ławą" więc zmiarkowano, że istotnie trudna by to była sprawa i dano nam pokój. Jesteśmy bardzo grzeczni ale zdaleka: czasem kobietom naszym coś nie coś więcej się powie, ale i one nie w ciemię bite też odciąć, się potrafią.

— To i dobrze że z tej strony macie spokój, no ale mówcie jak to było z tą szopą?

A no, na jesieni podaliśmy o straż ochotniczą podanie, trzeba było myśleć o przytułku dla niej, a że nam potrzebny był większy lokal na odczyty, zebrania kółka, przedstawienia amatorskie, więc postanowiliśmy postawić coś, coby tym wszystkim celom odpowiadało.

— Skąd mieliście pieniądze?

— A zebraliśmy z dobrowolnych składek, ja dałem grunt a inni, co kto mógł i tak gospodarskim oszczędnym sposobem postawiliśmy ten budynek za 250 rubli.

— Mieliście podobno uroczyste poświęcenie, bardzo miłe mówili mi o tym pp. Malinowski i Jan Kielak.

— A tak 6 sierpnia po południu odbyło się poświęcenie tej szopy. Były przemowy krzepiące ducha, potym zabawa w ogrodzie mego sąsiada Deptuły. Najpierw orkiestra z Pułtuska grała do słuchu, potym Kociczanie i Kociczanki deklamowały i śpiewali chórem, a potym młodzi tańczyli.

Zdrowia pito kwasem chlebowym domowego wyrobu, bo u nas choć nie jeden nie wie o istnieniu d-ra A. Wróblewskiego i z „Tow. Trzeźwości Przyszłość" nie miał styczności, każdy rozumie, że odradzający się lud polski musi być trzeźwy.

— Wiecie co, słucham waszego opowiadania, jak baśni.

— A jednak to nie baśń.

— Niech pan spojrzy dokoła, toż każda grzędka ziemi, każde drzewo w sadzie, każdy kołek w płocie, rozbudzone myślą oczy dorosłych i dzieci mówią tu chyba o tym co Tetmajer tak pięknie powiedział w tym wierszu co to się zaczyna:

„A teraz nam się znowu, jęła marzyć,
Polska, co sobą będzie gospodarzyć i siać
[i zbierać do własnego gumna..."

Spojrzałem mu prosto w oczy, co za wyraz mają te twarze chłopskie, gdy na nie padnie blask od idei, która się w duszy tli w ukryciu i czasem tylko błyska.

I mnie „coś" nagle „wzięło" bo głosem wzruszonym dopowiedziałem pragnienie poety:

„Nam się marzy Polska, którą budzi,
gniew niewolników z torn twardych ludzi,
nie karabela, ni buława złota,
lecz pług na roli chłopskiej i grzmot
[młota..."

Amen! wyrzekły z namaszczeniem iście kapłańskim chłopskie wargi.

Zapadliśmy w zadumę.

W milczeniu szliśmy drogą do chaty sekretarza kółka rolniczego p. Piotra Koczary.

Spotkał nas na ganku i gościnnie zapraszając wprowadził do środka. Chata z dwuch izb mieszkalnych złożona, czysto obielona, schludnie utrzymana, sprawia bardzo miłe wrażenie. W pierwszej jest komin do warzenia strawy, duży warsztat tkacki i inne gospodarskie porządki, druga urządzona, z pewną starannością, są w niej już meble porządne, szafka na książki, wiszą portrety Mickiewicza, Kościuszki i Orzeszkowej; w oknach kwiaty i firanki. Uderza mnie brak religijnych bohomazów.

Tak mnie to korci, że stawiam odnośne pytanie.

Dowiaduje się że przerażające widoki czyśca, piekła i t. p. zostały ostentacyjnie wyniesione na strych pomimo pewnych protestów ze strony niewiast. W końcu wytłumaczyłem im, że nie rażący obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i Chrystusa, jest najzupełniej wystarczający dla zadośćuczynienia naszym potrzebom religijnym, no i obecnie same przyznają, że to dosyć, a w chacie łatwiej o porządek, bo pająków mniej, które się za obrazemi gdnieżdżą, objaśnia mnie gospodarz.

— Ależ to wielka reforma hygieniczna i estetyczna,—zawołałem.

— A no trzeba myśleć i o tym, a tyle tych reform jeszcze nie przeszło w nasze życie.

No i jak zaczęliśmy na ten temat gawędzić, okazało się, że dużo istnieje takich niewprowadzonych dobrych nowości, ale znając Kacice, można być pewnym, że będą one kroczyły i dalej wytrwale po drodze postępu, że nie staną wpół drogi lecz iść będą coraz śmielszym i pewniejszym krokiem po szczeblach uspołecznienia i uobywatelnienia ku tej Polsce, która im się marzy.

St. Poraj.

Z życia politycznego Włoch.

Radykali.

Przed 1870 rokiem i aż do 1880 wyraz „liberał" oznaczał we Włoszech tych, których później nazwano demokratami a dziś radykałami, to jest najbardziej postępową grupą monarchistów. Liberali i klerykali — oto dwa wówczas zwalczające się zawzięcie obozy, które później uspokoiwszy się, w końcu przybrały inne nazwy. Ruch ludowy w pierwszych latach monarchji włoskiej, miał charakter liberalny o tyle, że zwracał się przeciw papizmowi. W pewnych wypadkach łączyli się z nim garybaldczycy i mazziniści. Gdy jednak niektórzy z liberałów doszedłszy do władzy (1876 r.) zdyskredytowali swój liberalizm, lewica stronnictwa zapragnęła się od nich odsunąć i przybrała nazwę demokratów.

We Włoszech nie istniało nigdy właściwie stronnictwo demokratyczne jako takie.

— Już miałem roześmiać się wesoło, gdy nagle uszu moich dobiegły ciche, głębokim, smutnym głosem wyrzeczone słowa:

— Człowiek jest tylko punktem marnym na rozłogach przestrzeni i czasu; bieżącą wodą są jego nadzieje, snami—pragnienia...

To mówił do Sokratesa królewski twórca „Nocy"...

I zachciało mi się nagle iść za radę Anakreonta...

— Upić się, upić się! — zawołałem głośno, i ku mojemu i współbiesiadników wielkiemu zdumieniu łzy gradem potoczyły mi się z oczu...

Bo oto weszli gladjatorzy; bo oto ujrzałem Spartaka, który miał walczyć, abym ja się bawił i filozofował...

A wielki, łysy bohater o nosie orlim i oczach surowych uśmiechnął się i rzekł cicho:

— Niewieście serce ma ten mąż...

. . . .

— Nie chcę uczt, nie chcę wesela i kobiet pięknych—dopóki róże płomienne spadać będą na czarne włosy Safo — i bolesne oczy patrzeć w nią tak smutno, tak beznadziejnie smutno...

Nie chcę uczt!...

Słońce wschodzi coraz wyżej na niebo — coraz dalej odbiega od mego snu o szczęściu...

Wiem, co uczynię: pójdę się uczyć mądrości cyników...

. . . .

— W pustej beczce leży człowiek pół nagi... Kawał kukurydzowego chleba przed nim; w glinianym kubku nieco wody...

— Witaj mi, Djogenesie!...

Odwrócił głowę leniwie — i spojrzał pytająco...

— Czego chcesz?

— Naucz mię, jak być szczęśliwym...

— A ty tak bardzo pragniesz szczęścia?...

— O tak!... Nie zaznałem go nigdy przez wszystkie dni żywota!...

— Nigdy?...

— Nigdy..

— A więc powiedz sobie, że ci widać niepotrzebne... Żyjesz przecie i tak...

— Ale jak żyję?...

— Jak nędzarz— i jak bóg... Nic więcej i nic mniej nie może ci dać życie, niż to, co daje... Równie tobie, jak i bogom... Tylko trzeba umieć brać...

— Naucz mnie tego...

Półnagi mędrzec zjadł chleb i popił wodą... Następnie zbił swój kubek...

— To mi już niepotrzebne — rzekł.

— A chleba możesz nie jeść?...

— Nie...

— A wody możesz nie pić?...

— Nie...

— A mądrość swoją odrzuciłbyś precz. jak ten kubek stłuczony?...

— Nie, przenigdy!...

— A więc nauka twoja nic mi dać nie może... Cóż po niej tym, którym wzbraniają albo chleba, albo mądrości, albo obojga razem!...

Mędrzec odwrócił się odemnie i rzekł niechętnie:

— Odejdź!... Nie zasłaniaj mi słońca!...

Dopiero w ostatnich latach rozproszone po całym kraju stowarzyszenia demokratyczne postanowiły połączyć się w ogólno krajowy związek. Dotychczas pozbawione ściślejszej łączności zakładane po miastach włoskich organizacje, liczące wśród swych członków i dawnych bojowników niepodległości wchodzą w skład tej ligi. Dawniej nikt nie myślał o tworzeniu partji radykalnej; dopiero gdy socjaliści zaczęli wykazywać znaczną potęgę, konieczność ściślejszej organizacji odczuwać się dała; zawiązano komitet centralny w Rzymie i od razu pozyskano znaczną liczbę członków.

Ani garybaldczycy, ani mazziniści nie mogli jako republikanie przystąpić do stronnictwa, które zbyt słodkie oczy robiło do monarchji. Jeżeli w murach parlamentu i przedtem gościli demokraci, nie wynikało to ani z ich siły liczebnej, ani z organizacji, lecz z popularności pewnych jednostek wybitnych, obdarzonych krasnomówczym, literackim lub politycznym talentem — lub przywiązanej do dawniejszych wygnańców.

Po wysłuchaniu porywającej mowy kandydata, wyborcy zahypnotyzowani bez wahania rzucali do urny nazwisko człowieka, który im do serca przemówił. Ludzie wybrani w ten sposób szli do izby pełni dobrych chęci, gotowi do krytyki i opozycji gdy sądzili, że dobro ludu jest zagrożone, ale pozbawieni jeszcze wtedy jakiegoś ściślej określonego programu.

Byli to nieubłagani cenzorowie i sędziowie odstępców i przeniewierców, którzy odnosili w izbie wspaniale krasomówcze tryumfy (nikt we Włoszech nie zapomni mów Cavalotti'ego przeciw Crispi'emu) z tym — niestety — jedynym wynikiem, że obaliwszy jeden szkodliwy gabinet, torowali drogę nowemu nie lepszemu niż poprzedni. Wówczas jeszcze walki polityczne staczano wśród szczerej gry porywów i uczuć; tem tłumaczą się ówczesne zwycięstwa demokratów — zresztą nieliczne. Z drugiej strony liberalizm demokratyczny zanadto oglądał się na przeszłość, żyjąc tradycją wielkich bojów o wolność, aby mógł istotnie dokonać dzieła odrodzenia. Działacze szczerzy i oddani sprawie zostali usunięci na bok przez karjerowiczów, którzy, zrzekłszy się dalekich ideałów, sprytniejsi od swych towarzyszy, wślignęli się między szeregi rządzącej większości i wyłowili dla siebie teki, odprawiwszy z kwitkiem tych, co im drogę torowali.

Protesty oszukanych idealistów budziły tylko śmiech.

Pozytywnej pracy wykonać nie mogli ci krytycy i opozycjoniści. Brakło im określonego celu i bezwzględności w wyborze środków.

Po reakcji 1888 roku, gdy Włochy zdawały się ogarnięte pijanym szałem wstecznictwa za ministerjum Pelloux, demokraci zbuntowali się (po niewczasie) przeciw rządowemu uciskowi i wezwawszy do pomocy socjalistów i republikanów utworzyli blok antyreakcyjny.

Jakiż rozmach panował w tym bloku i ileż szaleństw popełniono w jego imieniu! Któż w owych czasach pamiętał o walce klas, o republice, o trzeciej Italji? Nikt.

„Najprzód zwalczmy reakcję, mówiono, a później pomyślimy o reszcie" — to „później" zaś tak odkładano z dnia na dzień, iż nigdy do niego nie doszło, gdyż skoro tylko reakcja zwolniała, stała się mniej brutalną a bardziej obłudną, niesnaski w łonie samego bloku wywołały przesilenie w każdej ze składających go partji. Tymczasem jednak nieprzejednani republikanie i socjaliści, którzy się dali wziąć na dalekie obietnice, zostali już wyzyskani, a inicjatorzy bloku — demokraci — zyskali to, o co chodziło im oddawna, mandaty poselskie.

Blok wskrzesił jedynie dawną, zanikającą już demokrację. W chwili zbliżenia się konserwatystów do klerykałów i Watykanu napłynęły radykałom nowe posiłki w postaci antyklerykałów odpadłych od prawicy.

Mówi się dużo we Włoszech o wpływie masonerji oraz o wewnętrznym rozłamie, jaki wśród niej zapanował, gdy jedni chcieli się stać prawą ręką rządu, inni wierni republikańskim tradycjom masonerji włoskiej, która się szczyciła nazwiskami Garibaldi'ego i Mazzini'ego—wystąpili z opozycją. W loży rzymskiej usiłowano dziwnie godzić ideały republikańskie z interesami rządu.

W północnych Włoszech jednak, gdzie ruch umysłów jest żywszy a wszystkie prądy przybierają czerwieńsze zabarwienie, hasła wolności, równości i braterstwa więcej brano do serca.

Przyszło wreszcie do starcia; „bracia" mediolańscy oznajmiwszy „braciom" rzymskim, iż weszli na złą drogę dokonali z czasem oczyszczenia lóż z reakcyjnych żywiołów.

Wtedy to można było już mówić o wskrzeszeniu demokracji, gdyż wówczas utworzyła się „pierwsza zorganizowana grupa poważnie zmierzająca do urzeczywistnienia demokratycznych ideałów"—jak twierdzą radykalne dzienniki.

Aby jednak dojść do zamierzonego celu, muszą radykali włoscy uleczyć się z pewnych nałogów i przesądów, muszą przejść do żywszej działalności praktycznej, od której zawsze stronili, muszą śmielej roztrząsnąć pewne zagadnienia społeczne, zeszedłszy ze zbyt ciasnego burżuazyjnego punktu widzenia, gdyż inaczej obracać się będą w próżni i nic użytecznego nie zdziałają. Widzą oni, że wiele złego pleni się w kraju, że wiele zburzyć i wiele zbudować potrzeba w dziedzinie życia publicznego a zwłaszcza w ekonomiczno-społecznych stosunkach, czy jednak znajdą dość siły, by zorganizować poważną i celową działalność, czy znajdą dość tego ducha przedsiębiorczej inicjatywy, jaką podziwiają u klerykałów?

Radykalizm, który mimo swych naiwnych złudzeń co do możności pogodzenia sprzecznych interesów (można je sprzymierzyć tylko doraźnie dla wspólnego celu praktycznego, poczem następuje rozprzężenie), mimo niepraktycznego sentymentalizmu, ma jedną ważną zasługę, mianowicie wiedzie jawną i nieubłaganą walkę z kamorrą. Narzuca się on sam przez się w środowiskach małomieszczańskich, lecz hamuje szersze i żywotniejsze prądy.

Fakty świadczą, że poważne i racjonalne prądy teoretyczne praktyka obracała w niwecz, podczas gdy „nierozważne" i „szalone" ruchy zawsze osiągały pomyślny wynik, z którego korzyść odnosili i radykali. Strajk kolejowy w 1904 roku obalił ministerjum Giolittiego. W 1907 roku syndykaliści pragnęli użyć tegoż środka w podobnym celu, lecz oparli się temu socjaliści, radykali i republikanie, a gdy rząd karał urzędników, nikt nie stanął po ich stronie, nawet deputowani socjalistyczni, którzy przed tem obiecywali złote góry. Walki wyborcze i antagonizmy osobiste bowiem wywołują nieustanne zatargi między socjalistami reformistami a syndykalistami. W 1904 r. zbliżały się wybory, w 1907 — lewica kokietowała z rządem.

Radykali włoscy wzywając do współdziałania klas, byliby bardziej przekonywający, gdyby wykazali wśród siebie ludzi posiadających a działających w interesie nieposiadającego proletarjatu.

Wolność dla wszystkich,—wołają,—dobro ludu, wielkość narodu! Ależ to samo mówią i inni: klerykali, konserwatyści, socjaliści. Trzeba jednak pamiętać, że dawno już minął rok 1848 a jego tradycjami wiecznie żyć nie można. Masy nie mogą cierpliwie czekać, gdyż poza ogólnymi hasłami mają potrzeby indywidualne, domagające się zaspokojenia, nie mogą spokojnie patrzeć na to, jak trójprzymierze obciąża nadmiernem brzemieniem militarnych nakładów zubożony kraj. Na szczęście jest wśród nich grupa, która to pojmuje i popycha swój obóz na lewo. Jest to też dla nich jedyny ratunek, gdyż jeśli nie pójdą z prądem czasu, pogrążą się w nicość.

Pericle Maruzzi.

Polityka rabunkowa.

II.

Przypuśćmy, jak chcą niektórzy, że samorząd gminny jest poniekąd fikcją, bo nietylko wybory wójta, pisarza i pełnomocników, ale i każda uchwała gminy staje się prawomocną, gdy zostanie zatwierdzona przez odnośną władzę, — to jakże szerokie pole mamy do tłumaczenia się przed naszym sumieniem społecznym, że jest tak, a nie inaczej i zasłonić nasze niedołęstwo, a czasem i złą wolę przez tę siłę wyższą.

Nie ulega kwestji, że gdyby istniał samorząd w znaczeniu odpowiadającym pojęciu tego wyrazu, gminy mogły by stać się rozsadnikami kultury i t. d., i t. d. Jednak niemożność dostatecznego rozrastania się społecznego bynajmniej nie oznacza konieczności upadku i demoralizacji, bo w najciaśniejszych granicach, postępując zupełnie legalnie, można pracować z wielką korzyścią, tymbardziej, że granice samorządu gminnego, jakkolwiek są ciasne i skrępowane specjalnymi przepisami, jednak są najszersze z istniejących u nas.

Nie mam pod ręką danych statystycznych o nadużyciach w zarządach gminnych, za co spada odpowiedzialność nietylko na obranych ale i wyborców, ale przypuszczam, sądząc po tym co daje się słyszeć lub czytać, że napróżno szczycimy się jakąś wyższą europejską kulturą, nie jesteśmy bowiem bynajmniej lepsi od naszych braci ze Wschodu, a jeżeli nie popełniamy wielkich nadużyć, a tylko groszowe, to jedynie dlatego, że jesteśmy społeczeństwem małem i biednem.

Przypuściwszy, że w swych dążeniach, inteligencji, stopniu poczucia moralnego, obowiązku obywatelskiego—słowem uświadomienia człowieczego — obywatel danej gminy naszego kraju nie odbiegł od innego, choćby zupełnie przeciwnego krańca Królestwa, bo wszędzie są mniej więcej te same warunki bytu materjalnego i duchowego, wszędzie ta sama martwota i ten sam panuje duch, kuszę się, że dam mniej więcej wierną charakterystykę tych specyficznych stosunków gminnych, jeżeli odzwierciedlę choć w części jeden z zakątków w Kieleckiej ziemi.

Gdybym był nowelistą, mógłbym zatytułować swój artykuł: „Jak pan aptekarz został wójtem i co z tego wynikło". I nie byłoby to bynajmniej wulgarnym naigrawaniem się z pewnych stanów lub zawodów, lecz byłoby to nie pierwszym i prawdopodobnie nie ostatnim wskaźnikiem, że gdzie w miasteczku, gminie, swego rodzaju stołecznym mieście, kilku lub kilkunastu okolicznych wiosek inteligencję stanowi pięć — sześć osób: doktór, aptekarz, ksiądz, sędzia—tam postępowanie jednej z tych osób może stanowić o kulturalnym rozwoju lub zacofaniu całej gminy, a głównie jej stolicy. Małe wynagrodzenie wójta i pisarza i służalcze ich obowiązki względem władzy, z drugiej strony nawał pracy zmusza do pobierania t. zw. dochodów, które, o ile są dostosunkowane do zamożności interesanta nie czynią wrażenia występnego postępowania, bo na każdym kroku nas życie przyzwyczaiło do tego.

Już pogodziliśmy się z tym, już nas to nie razi, bo tak być musi i zmienić to można tylko wraz ze zmianą ogólnych warunków.

To szare życie gminy jest znane i o ile ta pięcioosobowa inteligiencja stoi na uboczu a siermięga i kaszkiet wybiera swe władze z pośród siebie, to jeżeli w tym razie może być mowa o „rabowaniu się wzajemnym" przy zmieniających się ciągle władzach gminnych, to jednak nie ma najgorszego, niema polityki rabunkowej, nie ma budowania dobra osobistego, dobrobytu materjalnego, na krzywdzie ogółu, bo tę zbrodniczą ideję wprowadza dopiero we wszystkich gałęziach spekulacja osób z inteligiencji władająca pewnymi środkami materjalnymi, stosunkami osobistymi, a czasem jest w pewnym kontakcie z ową siłą wyższą.

Póki w jednym z zakątków ziemi Kieleckiej gmina rządziła przez rdzennych obywateli — równi przez równych — póty było jak wszędzie szaro, martwo, bez wszelkiej inicjatywy do jakiegokolwiek czynu, ale i bez wypadków krzywdzących i bez tego biedną ludność.

Przejdźmy do fabuły, która sama przez się jest tylko wypadkiem, ale jako żywy przykład da obraz dziwnego antydemokratycznego stosunku inteligiencji małomiasteczkowej do ludu, czego np. nie spotykamy w Rosji, a często zgubnego wpływu kulturalnego, na co nie pomogą, ani odczyty ruchome, ani szerokie programy kulturalne, bo wszystko to strawi rdza prowincjonalna.

Kroniki miejscowe wielkimi zgłoskami zapisały do historji miasteczka przyjazd pana aptekarza, który prócz tego, że był zamożny był jeszcze wpływowy, bo miał rodzonego brata lekarza w samym powiecie.

Początkowy pobyt p. aptekarza niczem nadzwyczajnym się nie odznaczył prócz chyba tego, że kobiety wiejskie nic już nie mogły dostać w aptece za „sześć"—tylko za „dziesięć", co wzbudzało wielkie niezadowolenie, bo lud prosty zżył się z lekami za „sześć" i „dziesięć" i rozróżniał je według ceny, nie mówiąc o tym, że takie nagłe podniesienie cen prawie w dwójnasób na najniezbędniejsze środki lecznicze, bynajmniej nie zwiastowało demokratycznego nastroju u p. aptekarza. Zaczęła się cicha wojna. Pan aptekarz, gdy już „unormował" ceny, powziął myśl szerszej działalności reformatorskiej przy jednoczesnym powiększeniu sobie dochodów — i postanowił zostać... sędzią. Na przeszkodzie jednak stanęły wybory. Owe niemal, że cudowne robienie z szóstaków—dziesiątek, uczyniło p. aptekarza niepopularnym, postanowił więc za wszelką cenę odzyskać utraconą popularność i dla tego celu uprzednio zniżyć się do ludu i zostać... wójtem. Mając za sobą siły wyższe pomimo niechęci obywateli gminy, został obrany na tę niską godność. Całą płytkość pojmowania swoich obowiązków ujawnił już w pierwszych swych zarządzeniach. Wyobraźmy sobie małe miasteczko, które ma tyle ulic ile stron świata, i każda z nich nosi odwieczną nazwę sąsiedniego miasteczka, do którego prowadzi, a na każdej z nich po kilkanaście domów — wszystko nędzne i brudne, ulice bez bruku i światła—i na takim terenie p. aptekarz rozpoczął swą działalność od przybijania po rogach tych czterech ulic tablic z nazwami. Ta nieszkodliwa reforma jest nadzwyczaj charakterystyczną, jako próba przeniesienia gospodarki wielkich miast do małych miasteczek zaczynając od końca dla najzwyczajniejszej blagi...

Taki mniej więcej charakter nosiła cała gospodarka p. aptekarza na zewnątrz. Wewnętrzna głównie zasadzała się na coraz większym zadzierganiu przyjacielskich stosunków z siłami wyższymi, a zupełnym lekceważeniu rzeczywistych obowiązków, co doprowadziło do nadzwyczaj smutnych rezultatów, mogących zaimponować nawet Magistratowi Warszawskiemu lub niejednej radzie miejskiej w Rosji. Pan aptekarz uważał sobie za ubliżenie nietylko siedzenie w kancelarji gminnej i zajmowanie się bieżącymi sprawami ale nawet kontrolowanie wpływów podatkowych. Rezultatem takiej gospodarki było roztrwonienie w ciągu lat kilku przez sołtysa, pomocnika p. aptekarza, sum podatkowych, ściąganych z biednej ludności i przymusowe płacenie po raz drugi około 2000 rubli.

Jak widzimy z tej smutnej fabuły, że siła wyższa w tym razie nie przeszkadzała rozwojowi gminy. Gdyby nie darzyła zaufaniem pana aptekarza,—trwonienie systematyczne przez lat kilka byłoby niemożliwe, bo byłaby co jakiś czas normalna kontrola wpływów i rozchodów. Pomijając straty materjalne, jaki może mieć wpływ moralny na ludność tego rodzaju praca rabunkowa inteligiencji małomiasteczkowej, która wbrew chęci obywateli gminy bierze się do przewodzenia i przyczynia się do upadku materjalnego i moralnego. Jeżeli bowiem wolno było tak postępować p. aptekarzowi, dlaczego inny miałby się krępować więcej?

Echa prowincjonalne w *Nowej Gazecie* omawiając niejednokrotnie potrzeby prowincji nigdy nie poruszyły tej zasadniczej sprawy. Aby ulepszyć samorząd gminy, należałoby najprzód nie oddawać na pastwę interesu najuboższej ludności.

Czas, kiedy byli tacy „dziwacy" szczególnie między lekarzami, którzy osiedlali się w najodleglejszych kątach i nieśli ludowi nie mądrość broszurkową, lecz pracę—zdaje się bezpowrotnie minął. Samopomoc społeczna winna dążyć do tego, by na prowincji znaleźli się ludzie, którzy byliby zdolni sprawować sumiennie tego rodzaju urzędy jak wójta, sędziego; urzędy nadzwyczaj ważne ze względu na wyrobienie się kulturalne, na ukrócenie nadużyć.

Praca nasza teraźniejsza, nad podniesieniem ludu, zasadzająca się na wskazówkach z góry jest zupełnie podobna do obywatelskiej pracy p. aptekarza, który na czterech ulicach małego miasteczka poprzybijał wielkie napisy.

Feliks Honowski.

NA DOBIE.

Z powodu jubileszu Lwa Tołstoja.

Zestawienia pewnych faktów posiadają nieraz siłę objawień: gdy rozpatrujemy pewne zjawisko samo w sobie, rośnie ono często w naszych oczach do rozmiarów cudu-fenomenu, przed którym stajemy w podziwie, czy zalęknieniu, stajemy oniemiali zabobonną czcią, czy nieuzasadnionym przestrachem. I dopiero, gdy się nauczymy zjawiska pewne wiązać, rytm tkwiący w nich chwytać, a prawo rządzące nimi odgadywać, w porównywaniu i przez porównanie dochodzimy do tworzenia sobie pewnej miary, która fakty w należytym stawia oświetleniu i wartości ich dokładnie określa.

Rosja w ubiegłym tygodniu świętowała jubileusz hr. Tołstoja. Rosja cała go świętowała, świętowały rady miejskie i urzędy gminne, świętowała akademja i szkółka — świętowała przedewszystkiem Rosja postępowa, a od uroczystości powstrzymał się jedynie pop i urzędnik, którego od spełniania obowiązków obywatelskich zwalnia fakt pełnienia służby państwowej... A przecież w tej samej Rosji Turgieniew ani nawet Dostojewski nie posiadają dotąd pomnika. Turgieniew jest wielkością literacką, staje się już zwolna kartką historji, wkracza do muzeum — do tych katakumb nowożytnych, jak je nazywa Ibsen, a Dostojewski ma tyleż wyznawców w Rosji, co naprzykład w Niemczech. I można by się zapytać, czy w Rosji laur rzeczywiście tak skąpo liściem się pokrywa, że nawet dla tych głów brak już teraz wianków; czy też niema rąk, które by je splatać chciały? Czy może dwaj ci ludzie nic już nie mają do powiedzenia swej ojczyźnie?—Ale wszak w ubiegłym tygodniu świętowano jubileusz Tołstoja i wianków nie brakło...

A więc widocznie ten, którego tak chucznie czczono, posiada więcej praw do wdzięczności narodu, jest mu bliższym i to nie w czasie—bo pono laur rosnący na grobach trwalszy jest od tego liścia, co czoła wybranych — żyjących zdobi — bliższym jest jego ducha, jego pragnień, czy bólów.

Widocznie autor „Sonaty Kreutzera", gdzieś głębiej bierze początek w duszy rosyjskiej niż twórca „Idjoty" i „Braci Karamazowych", widocznie mocniej się z nią zrasta i pełniej charakter jej odtwarza, niż ten, który napisał „Ojców i dzieci" i „W Przededniu"...

Tak by się zdawać mogło — a jednak tak być nie może. Tak by się zdawać mogło człowiekowi, którzy nie zdając sobie sprawy z oddalenia słońca i księżyca, chciałby porównywać widome ich tarcze.

Ale kto raz spojrzał w otchłanne zamęty duszy Raskolnikowa, czy Soni, kto raz odetchnął tem powietrzem zarania, budzenia się i stawania, którym przesiąknięte są wszystkie opowiadania Turgieniewa, ten innych już ech doszukiwać się będzie w chłodnych podmuchach północnego wiatru, a odgłosów, dochodzących z Jasnej Polany z ucha do serca swego nie przeniesie.

Bo i cóż nam przynosiły te odgłosy? Zakrzepłe dogmaty żadnym nowym promieniem nie rozświetlone ani nie rozgrzane, tylko jeszcze bardziej odstręczające w swej twardej, doktrynerskiej formie, ewangieliczne prawdy w przytłumionej i dusznej wybujałe atmosferze—prawdy, które sam Tołstoj doprowadza do absurdu i hasła, które miast zbroić rękę i duszę krzepić nadzieją, każą im cierpieć w pokorze i własnej wyzbywać się mocy.

Nigdy nie zapomnę tej sceny, którą Kannan opisuje w swych wrażeniach z Jasnej Polany: Kennan, Amerykanin, wychowany na pojęciu walki klas, przywykły do obrazów walki o życie, o każdy kęs chleba, o każdą piędź ziemi, o każdy błysk jutra, nie rozumiał Tołstojowskiej idei: *nie sopratiwlajsia złu nasiljem.* Dla niego walka była podstawą bytu i gwarancją rozwoju, to też, gdy spotkał się z Tołstojem przedewszystkiem wszczął rozmowę na ten temat, Tołstoj mówił, ale nie uzasadniał, wieszczył, ale nie przekonywał. Wtedy Kennan zapytał go krótko: więc gdybyś pan widział, że komuś dzieje się krzywda, nie pospieszyłbyś pan, by skarcić i powstrzymać krzywdzącego? — Nie, była krótka odpowiedź. — A gdybyś pan wiedział, słyszał, że tam, w sąsiednim pokoju znęcają się nad nim jacyś ludzie, czy i wtedy nie wybiegłbyś pan i nie chwycił za kij, za nóż?... — Tołstoj milczał, Kennan nastawał — Gdyby to była osoba blizka panu, pana córka?... Nie, wyrzekł wreszcie Tołstoj, pasując się ze sobą, a samotna łza spłynęła mu po długiej, siwej brodzie...

Nie umiem schylić głowy przed tym „nie". Nie umiem uznać tej mocy, bo jest mi ona obcą, więcej nawet — bo przeciwną.

A fanatyczny ten, doktrynerski ton przebija przez dzieła i życie Tołstoja; jest zasadniczym rysem jego postaci. W imię doktryny zerwał on ze sztuką, zgodnie z nią chciał ułożyć swe życie, jej poświęcił trud długiego i pracowitego swego życia, dla niej wyparł się wszystkiego, co daje życie a więc bólu i nienawiści, protestu i oporu, walki i zwycięstwa.

Tołstoj posiada rzeczywiście aż nadto dużo cech wspólnych ze środowiskiem, z którego wyszedł, ale akurat nie z tą jego częścią, która jubileusz jego najuroczyściej świętowała. W zagłębiach Rosji, gdzie tamowane życie wybujałymi pędami wystrzela sekciarstwa, gdzie ludzie z płotów, okalających ich zagrody po żarliwej modlitwie, chcąc się wznieść do nieba, o twardą ziemię żebra sobie łamią, lub kładą się do trumien w oczekiwaniu śmierci, w tej Rosji, w której dziś jeszcze odgłosami trąb i jękami pieśni warowne chcą burzyć Jerycha, trzeba by szukać zawiązku duszy Tołstoja, a tylko wyjątkowe warunki popchnęły go w szeregi tych, którzy dziś najliczniej się do niego garną, choć oprócz wspólnoty położenia nic ich z nim duchowo nie wiąże.

Dla Zachodu posiada Tołstoj pewien urok egzotyzmu, jest ciekawem curiosum, w którem dziwactwo łączy się z wybujaniem pewnej doktryny, ale dla Rosji samej jest on ciekawszem daleko zjawiskiem.

Ale bo pomimo konsekwencji doprowadzonej pod pewnymi względami do absurdu, pomimo nieustannych wysiłków całkowitego pogodzenia doktryny z życiem, nie potrafił on nagiąć w sobie ostatecznie życia do formułki, a królestwo Boże zbyt jest dalekie, zbyt mgliste, by mogło przysłonić całkowicie to królestwo łez i płaczu, na które patrzyć on musiał ciągle. Tołstoj nie umiał zgnieść w sobie w imię pokory chrześcijańskiej buntu, ku któremu pchało go życie a odepchnięty przez jednych, stał się chorążym drugich.

I ci inni właśnie świętowali teraz jego jubileusz, ale ani Tołstoj ani oni nie zdawali sobie sprawy z tego, że składali cześć przedewszystkiem dwum sprzeniewierzeniom się Tołstoja wobec jego ideału: a więc artyzmowi Tołstoja, którego wyparł się on następnie i idei protestu i opozycji, którą również wykluczała jego doktryna.

Stefan Gacki.

Ze wspomnień o Kongresie Esperanckim.

Mimo, iż od świetnych uroczystości esperanckich w Dreznie upłynęło już dni niemało, upłynie ich jednak niechybnie o wiele jeszcze więcej, nim przebrzmią głośne echa imponującego tego zjazdu przedstawicieli kilkudziesięciu narodów i krajów. Są to zresztą fakta tak stosunkowo jeszcze nowe, tak niedawne, że dziś dopiero zaledwie szersza nasza publiczność zaczyna o nich co nieco dowiadywać się bądź od trzydziestu z górą naocznych jej świadków z Warszawy i od tyluż mniej więcej uczestników kongresu z Galicji i Królestwa wogóle. Stąd też wszystko, o czem zamierzam tu mówić, nie będzie bynajmniej relacją spóźnioną.

Czwarty tedy z rzędu kongres esperancki, cieszący się szczególną sympatją króla saskiego Fryderyka Augusta, otwarty został 17 sierpnia b. r. Dzięki zaś nietylko wysokiemu temu protektorowi i rzeczywistej jego opiece, ale zarazem i niezmiernie energicznej działalności *Komitetu Organizacyjnego* (który stanowili: d-r E. Myhs, d-r Albert Schramm, d-r Henryk Arnhold i wdowa po prof. uniw. pani Marja Hankiel) — powodzenie zjazdu przeszło wszelkie oczekiwania. Był on ogromny, udział w nim najwyższych dostojników państwa nadzwyczaj wybitny, serdeczność przyjęć niesłychana, owocność prac kongresowych nad wyraz obiecująca, a iście braterska przyjaźń jaka na każdym[1]) z kongresów esperanckich łączyć zwykła ze sobą coraz to liczniej przybywających nań przedstawicieli kilkudziesięciu narodów i krajów, słusznie ożywia ich nadzieją, że dzięki przedewszystkiem genialnemu twórcy języka Esperanto, i wśród całej ludzkości zapanuje z czasem, choć względna przynajmniej harmonja, życzliwość i przyjaźń. Nim zaś to nastąpi, niezmordowane na wszystkich punktach globu zabiegi i prace Towarzystw Esperanckich — upragnioną tę chwilę starają się przybliżyć. Olbrzymim też zwykle krokiem w tym kierunku, był każdy z dotychczasowych kongresów esperanckich, a niemniejszym z nich bezwątpienia jest i kongres drezdeński. Już samo jego otwarcie, jak i zamknięcie następnie, świadczyło wymownie o niepożytej energji i niezrównanym entuzjazmie wszystkich uczestników zjazdu. Dość było słyszeć te pełne zapału przemówienia najwybitniejszych członków kongresu, te pełne czci i miłości powitania i pożegnania Zamenhofa, te niemniej gorące pozdrowienia reprezentanta ministerjum oświaty i spraw wewnętrznych, radcy tajnego d-ra Langa, oraz prezydenta miasta, d-ra Beutlera; dość było słyszeć te nieustannie wybuchające, niby rozszalały orkan, burze oklasków i okrzyków: *Vivu Esperanto! Vivu Zamenhof!*, te przepiękne nabożeństwa, muzykę, śpiewy, kazania esperanckie w kościołach obu wyznań, to przedziwnie wykonane przez najznakomitszych artystów niemieckich, przedstawienie po esperancku „Ifigenji z Taurydy“; [2]) dość było wziąć udział w którym z ogromnej liczby posiedzeń naukowych różnych zawodów uczestników zjazdu lub w niemniej licznych zabawach, wycieczkach, zebraniach i t. d., by zrozumieć i odczuć, że tłumy te ożywione tak wzniosłą ideą, zdołają tymże samym zapałem i energją, jaką tchną same, natchnąć i niezliczone masy inne i prędzej lub później dla idei swej pozyskać obok najpotężniejszych państw świata, i najcichsze nawet zakątki ziemi.

Dowodem też tego poniekąd może być i przyjęcie, jakiego doznaliśmy, nie w samej już tylko pięknej stolicy Saksonji, lecz, co dziwniejsze, w bliższych i dalszych jej okolicach, gdzie dotąd bardzo niewielu liczyliśmy zwolenników. A jednak jest już tam dziś inaczej o! najzupełniej inaczej...

Śród ośmiu niezapomnianych dni kongresowych, na dwa z nich zapowiedziane były wycieczki do Meissen i do Wehlen w Szwajcarji Saskiej.

Aleksander Bolesław Brzostowski.

(d. n.)

[1]) Samych tylko sesji naukowych esperantystów różnych zawodów odbyło się kilkadziesiąt, jak np. specjalne posiedzenia esperantystów, teozofów, wolnych mularzy, wolnych myślicieli, lekarzy, dentystów, farmaceutów, prawników, dziennikarzy, przyjaciół pokoju, Esperanckiego Komitetu Lingwistycznego, Międzynarodowo - Esperanckiego Towarzystwa Naukowego, pedagogów, stenografów, fotografów, abstynentów, wegetarjanów, oficerów, socjalistów, szachistów, sekcji esperanckich Czerwonego Krzyża, kupców i przemysłowców, ociemniałych i ich opiekunów i t. d.

[2]) Patrz specjalny o nim artykuł Adama Dobrowolskiego w „Kurjerze Warszawskim“, Nr. 233 z r. b. p. t. „Goethe po... esperancku“.

Echa Prawdy.

Ale co jest zabawne, to argumentacja jaką się posiłkują niedobitki „myśli narodowej“. Uszczknijmy parę złotych listków z rozmowy, prowadzonej przez prawowierny *Głos Warszawski* z *enfant terrible* — *Gońcem*, z powodu znowu zabawek wszechsłowiańskich (Nr. 158 *Głosu*, art. p. t. „Niezmordowani alarmiści“). Naturalnie rozpoczyna się pięknie, podżentlemeńsku: Via *Warszawskij Dniewnik*, *Goniec* dowiedział się“ o zamierzonym na grudzień zjeździe w Warszawie. Oczywiście to mu się nie podobało. Tedy *Głos* go poucza. „*Alarmiści nasi, którzy głoszą obawy, że patrjotyzm polski, że nasze poczucie narodowe rozpłynie się niechybnie i zniknie, jak kamfora, jeśli nie będziemy go trzymali w szczelnie zamkniętym pudełku i wystawimy na działanie jakichkolwiek prądów zewnętrznych, zbyt nisko szacują nasze poczucie odrębności narodowej. Występując w roli obrońców honoru i godności narodowej, traktując naród własny, jako niewiastę kruchej cnoty, którą należy trzymać ciągle pod kluczem, gdyż każde wyjście na ulicę grozi jej upadkiem*“.

Toż mówiło się to ludziom, których opinję reprezentuje *Głos* dzisiejszy, dowodziło się tego do ochrypnięcia, wykrzykiwało się z rozpaczą, która już poczynała tłumić wszelką nadzieję: zaliż ci ludzie nie zrozumieją tego? Zrozumieli nakoniec, jeżeli szczerze mówią jak powyżej. Zrozumieli na cmentarzysku porywów i pragnień, który sami zasłali połapanymi skądinąd i zepsutymi przez siebie marzeniami. Czego się tknęli — to kurczyło się w sobie i zamierało. A brali się do bezdarnych wykonywań pomysłów cudzych, które zalewali swą liczebną większością, bezmyślną większością skarlałych serc i mózgów. Pod ich zaborem wszystko się niszczyło. Nigdy nie orjentowali się w chwili, gadając tylko i usiłując szachrować, zaś harcowali przytym na szklanym koniku „poczucia narodowego“, kruchym jak wszystko, co w ich chciwych władaniu a niemocnych myślą dłoniach stawało się kruchym.

A dziś?... Umieją, walcząc z frondą, powtarzać argumenty owych, tak niedawnych „wrogów narodów“, „wichrzycieli“, „sług żydowskich“ etc. etc. których pomysły i zamierzenia paczyli i brakali... Tak...

Adsum.

Znowu!... Niedawno pisałem na tym miejscu o „ludzkim postępowaniu hr. J. Korytowskiego ze swoim gajowym, dziś mam do zanotowania dwa świeże w tym rodzaju wypadki“.

W Maćkówce (w Galicji) ekonom *zabił* z dubeltówki włościanina Pieniążka, za to, iż jego bydło pasło się „na dworskim“, a we wsi Tandol Dolny (w Królestwie) właściciel wszedłszy zrana do stajni i zastawszy fornala śpiącego, zaczął go okładać kijem, a gdy rozbudzony znienacka w ten sposób, porwał za widły, wówczas „chlebodawca“ wpakował mu kulę rewolwerową w ramię.

Może to wypadki odosobnione? może to tylko krewkość i porywczość ekonomów-sług i ekonomów-panów? może to tylko zajścia sporadyczne? a więc może należy nad nimi przejść do porządku dziennego?

Może... Ale w każdym razie wypadki powtarzają się nadto często, ażeby o nich można i wolno było przemilczeć.

Przytoczyłem tutaj dwa tylko przykłady jest ich jednak wielokroć więcej. Są to przykłady załatwiania wszelkich zatargów z włościanami i przekroczeń fornalów, tradycyjnym patryjarchalnym sposobem, polegającym na doraźnym wymierzaniu satysfakcji. I demoralizacja ta rozszerza się, właściwie odnawia się coraz silniej. Jest to więc wznowiony dawny system, ciągłość, pielęgnowanie tradycji... „narodowej“ ziemiańskiej, pańszczyźnianej. Jest to owa słynna buta szlachecka, widząca w chłopie istotę niższą, „bydlę“ niezasługujące na najmniejsze względy ludzkie.

I takie to przykłady, takich to zwierzchników spotykamy w tym właśnie okresie, kiedy się tak dużo mówi i pisze o potrzebie kulturalnego i umoralniającego wpływania „dworu” na „chatę” i „czworaki”.

Istotnie, robi się bardzo dużo!...

Żądełko.

Przez pryzmat Prawdy.

Są w Warszawie dziennikarze i publicyści, którzy tylko dlatego mieli dawniej pewne znaczenie w świecie społecznym, że wisieli na ogonie potężnej partji i wzamian za niewolnictwo, wierną służbę swoim politycznym panom, mieli prawo zabagniać pismo, naturalnie partyjne, płodami swych niby przekonań. Jednak zdaje im się, że mimo bankructwa moralnego i kompromitacji swych możnych protektorów, wciąż jeszcze coś znaczą i zgodnie z tym ptasim przekonaniem, jako ta nędza ze szpikowej kości, nie opuszczają nas nawet z Paryża, pouczając rodaków, co i jak czynić mają.

Do tych obmokłych heroldów zatęchłej przeszłości należy p. Stanisław Kozicki, którego dnia 5 września r. b. w Paryżu tak rozdęła ochota do wskazywania wstecznych dróg innym, że aż „popełnił” artykuł w *Głosie Warszawskim*, organie—na szczęście społeczeństwa, czytanym obecnie zdaje się jedynie przez Koło polskie w Petersburgu.

Otóż panu K. ogromnie się nie podoba, że pewna część społeczeństwa polskiego, postanowiła upamiętnić jubileusz Aleksandra Swiętochowskiego utworzeniem szkoły rolniczej jego imienia i protestuje przeciw tej uzurpacji bardzo stanowczo i bardzo głośno, gdyż bardzo pusto jest koło tego pedela sprawiedliwości i mądrości „całej Polski”...

Logika p. K. nie ma coprawda bezpodstawnych pretensji do mądrości stanu, wymaga jednak z kronikarskich względów zaznaczenia, a to z tej racji, że jest nawskroś samorodną i chadza takimi oto bezdrożami: Szkołę rolniczą dla ludu, ma prawo stworzyć tylko lud, a ten lud reprezentuje „cała Polska”, a oddziałem „całej Polski” jest Towarzystwo Rolnicze, oto cała potężna i niezachwiana mądrość tego nowego chirurga filozofji.

Dobra była taka argumentacja nie trzymająca się kupy, za złotych czasów endecji, gdy ta ostatnia najskrajniejsze absurdy mogła podawać do wierzenia swym wiernym owcom i baranom, dziś jednak na te plewy nikt ani przez grzeczność, ani przez oportunizm lub serwilizm się nie bierze, na nieszczęście bowiem leaderów i posługaczów tego sławetnego stronnictwa, społeczeństwo było tylko czasowo oszołomione, nie straciło jednak zdrowego rozsądku, wie, że każdemu naukę szerzyć wolno, a nikt w kraju—nawet „cała Polska” monopolu na to nie posiada.

Że szkoła będzie imienia tego wielkiego myśliciela i mistrza słowa, nie znaczy to, by była partyjną, z natury jednak rzeczy wezmą udział w organizacji tej uczelni żywioły postępowe, bo te w pierwszym rzędzie mają za swe zadanie szerzenie światła. Są to rzeczy tak elementarne i proste, że chyba tylko jeden p. Kozicki ich zrozumieć nie potrafił.

Sector.

NAUKA I WYCHOWANIE.

Katolicka szkoła przyszłych detektywów.

Ministerjum spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministrem sprawiedliwości otwiera w państwie 89 cyrkułów śledczych dla tropienia przestępców karnych. Jest to według zdania *Rus. Wied.* nowa próba przedostania się władzy administracyjnej przez szczeliny odnośnych artykułów po reformie sądowej 1864 r. — czyli zwyczajny konsekwentny wynik reakcyjnego napięcia chwili politycznej. Również prąd owej „chwili” wlewa się szeroką falą do życia szkolnego w państwie rosyjskim. Telegramy naru ostatnich tygodni donoszą, że w Smoleńsku, Tule, Kijowie i innych miejscowościach Cesarstwa odbyły się narady komitetów rodzicielskich, lub władz szkolnych z przedstawicielami administracji miejscowej w sprawie rozciągnięcia dozoru pozaszkolnego nad młodzieżą. W niektórych znów miastach rozwiązano komitety szkolne rodziców.

My — pod tym względem uprzedziliśmy wyżej pomienione miasta. Bo oto już w marcu czarnosecinna *Rola* ogłosiła otwarcie in spe szkoły imienia ks. Skargi.

Program naukowy tej szkoły odpowiada najwybredniejszym wymaganiom twórców tołstoizmu. Kierunek zaś etyczny — zastosowano do najnowszych „objawień” śledczych pana Sherloka, tak że złośliwi nawet nazwali twór p. Jeleńskiego i *Roli* szkołą Sherloka Holmesa. Jeżeli nadto dodamy, że protektorem owej szkoły jest hr. Wielopolski a „duszą” — hr. J. Ostrowski — możemy z góry przewidywać, jak głęboko w duszy młodzieńczej będą zakładane „granity” pojęć i uczuć katolickich. Pierwszy *omen*—prognostyk, przykład—dał sam hrabia podczas wizyty u ministra Szwartza. *Głos Płocki* odsłonił jego *oskarżenie* Macierzy—a wynoszenie „Związku katolickiego”, który uważa szkołę ex-ks. Skargi, (obecnie St. Kostki) za swoją pierwszą uczelnię. Zresztą konsekwentny hrabia Juljusz na stypie Macierzy wypowiedział swe pamiętne słowa: „Macierzy niema! Strzeżmy się nieszczęścia, jakiem bezprzecznie byłoby pochwycenie *oświaty mas ludowych* przez żywioły, będące synonimem *ciemności*, dajmy na to „Kult. polską”. A niechby przepadła raczej oświata ludu, aniżeli miałaby się pod taką *sparszywiałą* (kulturalny hrabia! p. a.) nie polską i nie chrześciańską doktrynę dostać”.

I oto, według relacji pism ultrakatolickich — w nowootwartej uczelni będzie rozciągnięty nad uczniami ścisły dozór *w szkole, na ulicy* i *w domu*. Nauczyciele będą pilnowali uczniów, uczniowie kolegów; szkoła będzie rekomendować odpowiednie stancje z gwarancją moralnej i religijnej opieki. Słowem typowa uczelnia w duchu synów Lojoli!

„Związkowi katolickiemu” — pozostaje zaszczyt uprzedzenia reakcyjnej pedagogiki Kijowa i Smoleńska — o pół roku!—Opóźnili się tylko księża Pijarzy... I oni pragną uszczęśliwić Polskę swoją pedagogią — dufając tradycji... Ale... sądzę, że o ile księża Pijarzy byli postępowi po Jezuitach — to na tle dzisiejszego librepenseryzmu młodzieży — będą anachronizmem.

Społeczeństwo nasze, pomimo rozklerykalizowania, pomimo obałamucenia się pseudo-patryjotycznemi hasłami szkół przedsiębiorców prywatnych — nie ufa jednak wpełzającej na bagno szkolnictwa naszego hydrze czarnej sutanny i białego kaptura Niepokalanek. Szkoła Sherloka Holmesa — przepraszam!... św. Stanisława Kostki — liczy bardzo szczupłą garstkę aspirantów do 1 — 2 klasy! Klasztor Niepokalanek — ma po kilka uczennic (z arystokracji) w klasie — a dwuklasowa szkoła „Zw. kat.” w Płocku ściąga biedne mieszczaństwo tylko swym umiarkowanym wpisem. Szkoła ks. Pijarów jeszcze nie zaczęła funkcjonować... Ks. przeor Piasecki pojechał do O. Swiętego... Bez papieskiej instrukcji — czyż można pracować pomyślnie dla Polski?

Ale — szkoda i tej garstki młodzieży „nowej szkoły” — którą pedagogika w duchu krańcowej kontroli myśli i czynów, może spaczyć istotnie w kierunku rozbudzenia zdolności jezuickiego detektywizmu...

W takim razie — miast szkoły Stanisława Kostki, — czy nie byłby właściwszym patronat innego Stanisława—który kraj zdradził?...

Ant. Miller.

Reformy szkolne u nas i w Cesarstwie.

Zapewne w myśl pamiętnej zapowiedzi: „najprzód uspokojenie potem reformy” — obecny początek roku szkolnego zaznaczył się całym szeregiem nowych rozporządzeń dotyczących uniwersytetów i szkół wszelkiego rodzaju. Niestety — wszystkie one znamionują kierunek wsteczny, cofający szkolnictwo już nietylko do przedwolnościowego okresu, lecz nawet przewyższający reakcyjnym charakterem to wszystko, na co patrzyliśmy wtedy, gdy o konstytucji ani pisać, ani mówić nie było wolno.

Usuwanie z katedr uniwesyteckich profesorów, którzy nie złożą pisemnego zobowiązania nie należenia do nieprawomyślnych partji, przywrócenie wszelkich procentowych ograniczeń, zcieśnienie dawniejszych swobód uniwesyteckich, u nas usunięcie ze szkół prywatnych polskich nauczycieli geografji i historji, — i wiele innych jeszcze, podobnych zarządzeń świadczą, że prąd reakcyjny w ministerjum oświaty, silniejszym jest, niż był kiedykolwiek.

Jednym z najciekawszych objawów tego prądu jest przedsięwzięte w całej Rosji i Królestwie umoralnianie młodzieży szkolnej przy pomocy i współudziale policji.

W Warszawie również jak i gdzieindziej odbyła się w tej sprawie narada reprezentantów władz administracyjnych, naukowych, żandarmskich i policyjnych i doprowadziła do uchwał podobnych tym, jakie powzięto wszędzie. Umoralnienie więc oparto na ścisłym dozorze policyjnym, którego warunkiem technicznym jest umundurowanie i matrykuły. Postanowiono ograniczyć spacery uczniów, wzbronić udziału w widowiskach sportowych, bywania w kabaretach, kawiarniach a także na dworcach kolejowych bez specjalnego pozwolenia. Obok przepisów ograniczających prawo bywania w teatrach, cyrkach i iluzjonach, znajdują się takież ograniczenia dotyczące odczytów.

Bywanie w domach rozpusty wzbronione jest rozumie się bezwarunkowo, lecz takiż sam bezwarunkowy zakaz odnosi się do bibljotek i czytelni. Klasyfikowanie stancji uczniowskich na prawomyślne i nieprawomyślne politycznie i zakaz umieszczania dzieci na tych ostatnich przypomina piękne

czasy z przed wojny rosyjsko-japońskiej, kiedy to równie bacznie w szkołach rządowych czuwano nad prawomyślnością uczniów, rodziców, nauczycieli i wychowawców z bardzo zresztą nieoczekiwanym skutkiem, gdyż właśnie to policyjne wychowanie zakończyło się strajkiem szkolnym. Policja jako wychowawczyni młodzieży a ścisły dozór jako kardynalny czynnik pedagogiczny tyle razy już wykazały swą bezsilność i bezcelowość,że może nie warto rozpoczynać na nowo niefortunnego eksperymentu.

Z PRASY.

Perły wiary.

Kto pragnie poznać tok myśli niepokalanie ortodoksyjno - marksowski, niechaj czytuje artykuły p. Almara w „Społeczeństwie”.

A więc zważ, łaskawy czytelniku. W Turcji właściwie nic się nie stało. Konstytucja była tam zarówno przed 23-im lipca 1908 roku, jak i potem. Wszak ogłoszono ją już w 1876-ym r., a ponieważ „prądu społecznego”, który, jak zapewnia p. Almar, „jedynie ma trwałe podłoże”, nie było ani wówczas, ani teraz, więc w Turcji właściwie nic się nie dzieje.

Zato w Prusach dużo się dzieje, nieprawdaż, panie Almarze? Tam „prąd społeczny” jest. Wilhelm II-gi przemówił...

Ale nigdzie nic dzieje się tak źle, jak we Francji pod rządami „radykalnych i demokratycznych filozofujących szalbierzy”. Jerzy Clemenceau to bête noir dla pana Almara, zupełnie tak, jak dla dewotek, które mają mu za złe brak delikatności dla osób duchownych i jak dla skąpców, którzy nie mogą mu wybaczyć postępowego podatku od dochodów.

Dewotka, sknera i ortodoks — oto trio ujadające na „podłą Francję, która upada pod rządami masonów”.

Czego chce dewotka i sknera — to nie jest ciekawe, a przynajmniej nie tak ciekawe, jak to, czego chce ortodoks.

Wiecie dla czego rząd francuski „szafował miljonami grosza publicznego i życiem żołnierzy francuskich” w Marokku? Oto dla tego, aby „uratować procenty od kapitału bankierów”.

Za pozwoleniem, panie Almar. Czy pan nic nie słyszał o zabójstwie *doktora* Mauchamps? Czy pan wie, że minister francuski, któryby nie zażądał zadośćuczynienia za podobną zniewagę narodu, byłby w 24 godziny obalony? Czy mam panu przypominać, że wszelkie dalsze perypetje były konsekwencją niedania rzeczonego zadośćuczynienia? A dalej — nie pamięta pan tego sławnego ograbienia konsulatu niemieckiego, gdzie Maurowie „ukradli” ogromne zapasy broni, którą potem używali przeciwko wojskom francuskim.

Wreszcie — co do tych bankierów. Nikt niema do nich większego wstrętu, jak ja i ich dochody mnie nic nie obchodzą. Ale wiem, że Marokko to kraj tak duży, jak Francja i Niemcy razem wzięte i prawie tak żyzny i tak bogaty w skarby mineralne, jak one. Wiem także że w tym kraju, gdzie łatwo pomieściłoby się z 50 miljonów ludzi, nędznie wegetuje koło 6-ciu miljonów osobników,które trudnią się przeważnie wzajemnym rabowaniem, a wolne chwile poświęcają na suto opłacane konferencje z marabutami (rodzaj żywych świętych). Wiem również, że coś podobnego istnieć nie może. I owszem— pokażcie mi jakich młodomaurów, w rodzaju młodoturków, którzyby byli w trakcie robienia z Marokka czegoś porządnego — je m'incline. Ale mi ich nie pokażecie. Zresztą, jeżeli tacy są, to napewno trzymają się „francuskiego” sułtana.

Więc czegóż wy od Francuzów chcecie, wy ortodoksi? Jakże się wam wasz kapitał skoncentruje w Marokku z rozbójnikami i z marabutami?

Kto chce kolektywizmu, ktory ma wytrysnąć z przerostu kapitalizmu — musi przedewszystkiem chcieć kapitalizmu. Tak, czy nie? Sofistyczną scholastyką (przepraszam: djalektyką) wszystkim się oczu nie zamydli. A kto chce ucywilizowania Marokka, ten wie, że podobny kraj pozostawiony sam sobie nie ucywilizowałby się nigdy. „Młodomaurzy” wytworzą się przez zetknięcie z Europejczykami, tak jak się wytworzyli młodoturcy, młodojapończycy i cała młoda Azja. Ale, prawda, to wszystko nie są ortodoksi, więc nie liczą się. Zapomniałem. Przepraszam.

J. Kurnatowski.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 15 września.

We samym początku bieżącego tygodnia doręczoną została mocarstwom nota francusko-hiszpańska w przedmiocie zmiany tronu w Marokku i uznania Mulej-Hafida.

Oprócz znanych już czytelnikom warunków mających poprzedzić uznanie przez Europę nowego sułtana, nota żąda jeszcze formalnego odwołania przez niego, czy też zakazania wojny świętej, a nadto konstatuje, że Francja i Hiszpanja zajmują w kwestji marokańskiej stanowisko pierwszorzędne i najważniejsze.

Co odpowiedzą Niemcy na propozycje Francji i Hiszpanji dotychczas niewiadomo. Dzienniki berlińskie donoszą tylko, że nota została przyjęta przyjaźnie i w takim samym duchu ma być rozważona.

Dotychczas widoczną jest rzeczą, że inicjatywa gabinetu z Wilhelmstrasse obudziła tylko podejrzenia i niechęci przeciw Niemcom w całej Europie, lecz bezpośrednich przynajmniej skutków żadnych nie osiągnęła. Najlepszym potwierdzeniem tego jest bardzo stanowcza postawa prasy francuskiej wobec uroszczeń niemieckich, oraz zgodna z nią postawa rządu republiki, który ani na chwilę nie zmienił powolnego tempa w traktowaniu nowej sytuacji marokańskiej.

Jeżeli polityce francuskiej można było uczynić zarzut, że pomimo wygłaszania zasady nieinterwencji, tajnie a po części i jawnie protegowała Abdul-Azisa, to z drugiej strony jasną jest rzeczą, iż nie ma ona żadnego interesu przyspieszać chwili uznania jego brata przez państwa europejskie.

Interes niemiecki w przedstawianiu się za przyjaciół nowego sułtana wynika z tego, co w sposób wysoce półurzędowy wyraziła „Süddeutsche Reichskorrespondenz”. Idzie im mianowicie, aby i Niemcy stali w rzędzie państw najbardziej interesowanych w Marokku obok Francji i Hiszpanji. Do czego zaś im to ma być potrzebne, tego nie są zdolne zrozumieć nawet niezależne dzienniki niemieckie. Z tego względu doradzają rządowi swojemu, aby zachowywał w działaniach dyplomatycznych należyty spokój i umiarkowanie.

* * *

Z drobniejszych wydarzeń na widowni politycznej najwięcej zajmuje uwagę mające odbyć się w tych dniach spotkanie ministra rosyjskiego p. Izwolskiego z bar. Aerenthalem. Potrzebę osobistego porozumienia obu tym mężom stanu mogły nastręczyć prawdopodobnie tylko sprawy półwyspu Bałkańskiego. Interesy tych państw na Wschodzie tureckim, rozbiegły się z sobą wyraźnie, gdy Austrja uzyskała dla siebie koncesję na kolej przez sandżak nowobazarski. Początkowe oziębienie stosunków wynikłe z tego powodu, złagodziło się teraz skutkiem dokonywającego się w Turcji przewrotu.

Jeżeli więc p. Izwolskij uznaje za potrzebne widzieć się teraz z bar. Aerenthalem, to chyba przypuszczać należy, że konferencja tych ministrów może mieć na oku jakieś dalsze cele, opierając je na przekonaniu dość często ujawnionym w prasie i w interwiewach różnych znakomitości politycznych, że stan obecny państwa tureckiego w bardzo krótkim czasie musi ulec zmianom. Rząd bezimienny i niewidzialny komitetu młodotureckiego może trwać tylko tak długo, dopóki nie zbierze się parlament, w którym dopiero stare i nowe czynniki życia politycznego w Turcji zmierzyć mogą swe siły. Po którejkolwiek stronie będzie przewaga, to dla Austrji i Rosji może być nawet obojętnym, byle raz ustaliła się jakaś władza odpowiedzialna, z którą traktowanie doprowadziłoby mogło do pożądanego celu. Tymczasem trzeba szukać środków zaradczych do wyjścia z położenia, jakie dla Austrji wytworzyła rewolucja turecka w Bośni i Hercogowinie. Wymaga to do korzystnego rozwiązania dla monarchji habsburskiej—zgody ze strony państw europejskich, przedewszystkiem zaś ze strony Rosji. Co wzamian za współdziałanie uzyska od Austrji Rosja i w jakiej formie ukaże się przyszła akcja europejska w Turcji, tego z góry przewidzieć się nie da. W każdym razie bądź to informacje dziennikarskie, bądź rozprawy w zbliżających się posiedzeniach wspólnych delegacji austryjackich dostarczą wkrótce pewnych szczegółów, z których będzie można powziąć wyobrażenie o treści narad austryjacko-rosyjskich. Nie można wątpić, że teraźniejsza potrzeba ich musi wypływać ze ścisłego związku sytuacji austryjackiej na Wschodzie z obecnym położeniem ogólnej polityki europejskiej, obfitej w zatargi i niebezpieczeństwa, które zniewalają do szukania porozumień z sąsiadami.

St. Pyrowicz.

Zjazd spółek spożywczych.

Do zatwierdzenia władz złożony został „program Zjazdu spółek spożywczych, jaki ma się odbyć w Warszawie w dniach 27—31 października r. b.” W celu przygotowania zbiorowego sprawozdania o stanie spółek w kraju biuro organizacyjne rozesłało kwestjonarjusz do 640 spółek spożywczych. Dotychczas nadeszło 112 odpowiedzi. Spółki, zwlekające z odpowiedzią na kwestjonarjusz, powinny przyśpieszyć nadesłanie jej, od tego bowiem zależyć będzie pewność, że nie zostaną one pominięte w zaproszeniu na zjazd, który będzie połączony ze specjalnymi kursami dla kierowników spółek. Wobec niepewności dotychczas posiadanych adresów, pożądanem też jest, aby wszystkie te spółki, które dotychczas kwestjonarjusza nie otrzymały, natychmiast nadesłały swój adres do redakcji „Społem” w Warszawie (Wspólna 79).

Redakcja dwutygodnika *Czystość* podaje nam następującą wiadomość z prośbą o umieszczenie:

Wykłady o moralności naukowej.

W sali obok redakcji „Czystość", (Żelazna 75a) odbędzie się staraniem organizującego się Towarzystwa „Czystość", systematyczny kurs „moralności naukowej", w 11-tu wykładach d-ra Aug Wróblewskiego. Wykłady odbywać się będą co czwartek o g. 8-ej wiecz. Rozpoczną się 17 września. Płaca za kurs rb. 2.50, albo 30 kop. za wykład.

Program: 1) Przyrodnicze podstawy praw moralności. 2) Krytyka filozoficzna systemów moralności, ze szczególnym uwzględnieniem kierunku materjalistycznego. 3) Moralność indywidualna. Godność osobista. Prawdziwość a kłamstwo. 4) Świadomość. Charakter. Narkotyzowanie się. 5) Podwójna moralność. Prostytucja a małżeństwo. 6) Hygjena jako etyka. 7 Moralność społeczna. Sprawa robotnicza. Sprawa kobieca. 8) Prawo do życia wobec zabójstw i wojen. 9) Moralność narodowa. Krytyka egoizmu narodowego. Sprawa żydowska. 10) Etyka w nauce, sztuce, polityce. 11) Etyka religijna. Przyrodnicze podstawy religijności.

KRONIKA.

— Sfery dyplomatyczne tureckie projektują zaproponowanie mocarstwom rewizji traktatu berlińskiego. Na początek odpowiednie przedstawienia zrobione zostały Francji. Według projektu Bośnia i Hercegowina przeszłyby do Austrji wzamian za zrzeczenie się kontroli nad Macedonją.

— Ministerjum sprawiedliwości zamierza wnieść na sesję jesienną Dumy państwowej projekt prawa o sądach przysięgłych. Projekt ten opiera się w zarysach na wskazaniach, opracowanych przez specjalną komisję do rewizji ustaw sądowych i daje między innymi tym sądom prawo wyjednywania ułaskawienia skazanego.

— Polskie spółki zarobkowo-pożyczkowe, funkcjonujące w dzielnicy poznańskiej i zachodnio-pruskiej (wyłączając Śląsk, który stanowi niemal połowę ludności) dosięgły w roku zeszłym liczby 225, liczyły ogółem 98,230 osób stowarzyszonych i rozporządzały kapitałem związkowym 150 miljonów marek. W porównaniu z rokiem 1906 w roku zeszłym przybyły 33 związki, t. j. 10,000 stowarzyszonych i kapitał powiększył się o 20 miljonów marek. Rozwój spółek datuje od 30 lat, przeważa w nich typ t. z. „banków ludowych".

— Ekonomiści francuscy podnoszą ogromny alarm ze względu na znaczne wyludnianie się Francji i nawołują rząd, aby zaopiekował się rodziną drogą ulg podatkowych dla ojców rodzin, obostrzenia prawodawstwa względem zbrodni przeciw moralności i nie ułatwiania rozwodów. W ostatnim stuleciu liczba narodzin na 1000 mieszkańców spadła z 92 na 20 i dziś statystyka śmierci znacznie przerasta statystykę urodzeń. Ludność dziś wynosi 40 miljonów głów, mimo, że Francja wyżywić może podwójną liczbę mieszkańców. Dziś Francja liczy o 20 miljonów mieszkańców mniej, niż Niemcy.

— „Młoda Muzyka" dwutygodnik poświęcony wiedzy muzycznej, jak to zapowiada prospekt, zacznie wychodzić z dniem 1 października r. b. przy współudziale wielu wybitnych muzyków, krytyków i literatów. Jako wydawca i redaktor pismo podpisywać będzie p. B. Chojnacki, a w jego zastępstwie p. R. Haller. Adres wydawnictwa: Wspólna 49 w Warszawie.

— Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (Jerozolimska 29) zapowiada na sezon jesienny dwie jednodniowe wycieczki: dnia 27 września do Piotrkowa i Sulejowa, zaś 18 października do Ciechanowa i Opinogóry.

Wystawa Przemysłu i Rolnictwa organizuje się w Częstochowie na jesień roku przyszłego. Deklaracje, programy i przepisy dla wystawców interesujący się otrzymywać mogą u sekretarza jeneralnego wystawy p. Kazimierza Grosmana w Częstochowie.

— P. Paweł Włodzimierz Wodniakowski (Marszałkowska 148) zawiadamia okólnikiem, że po ukończeniu nauk wyższych w Gera, Antwerpji i Marsylji a także po odbytej praktyce otworzył obecnie w Warszawie Dom Handlowy zwłaszcza dla sprzedaży produktów krajowych do Francji, Belgji i Anglji.

— Dn. 15 września nastąpiło otwarcie sejmu galicyjskiego. Marszałek zapowiedział przyspieszenie uchwały o reformie wyborczej i wzywał stronnictwa do kompromisu.

— W Pradze czeskiej nastąpiło spotkanie ministrów bar. Aehrenthala z hr. Izwolskim.

— Delegaci związków egipskich zebrani w Genewie zażądali od Anglji ewakuacji Egiptu, a od khedywa nadania konstytucji.

— Cholera w Rosji a zwłaszcza w Petersburgu przybiera zatrważające rozmiary.

— W Marsylji odbywa się międzynarodowy kongres elektrotechników.

— W Wiedniu odbywa się międzynarodowy kongres astronomów.

— Ministerjum oświaty zamierza rozesłać władzom uniwersyteckim nową ustawę uniwersytecką. O autonomji uniwersytetów niema w niej mowy. Wszystkie ograniczenia istniejące przed wolnościowym okresem przywrócone i obostrzono. Ustawa nie uznaje żadnych zgromadzeń w murach uniwersytetów. Opłata za słuchanie wykładów będzie podniesiona.

— Rząd angielski postanowił pospiesznie zbudować 14 nowych kontrtorpedowców. Uchwałę tę tłumaczą sobie naprężonym położeniem politycznym.

— Persey ulemowie domagają się od szacha jaknajpospieszniejszego zwołania medżylisu i przywrócenia konstytucji.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu St. Gnerychowi z Kaukazu. Dla „dorosłej" młodzieży, sądzę, niepodobna wydawać osobnego pisma, gdyż jako dorosła, a więc samodzielna, czerpie ona pokarm umysłowy ze źródeł tych samych co jej dotychczasowi opiekunowie.

Istniały nieraz próby stworzenia osobnego czasopisma dla dorastających, ale — o ile wiem — nigdy nie doznawały powodzenia. Gdy literatura dziecięca przestaje wystarczać młodym czytelnikom, należy z literatury ogólnej — a więc i perjodycznej, wybierać rzeczy najprzystępniejsze i najodpowiedniejsze, stopniowo przyzwyczajając do przyswajania jędrniejszej strawy niż preparowana na użytek młodego wieku hygieniczno-naukowo-literacka kaszka na mleku.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Witold Gall: „Szkice liryczne". Petersburg. Drukarnia warszawska.

— Wacław Wolski: „Ballady tatrzańskie". Kraków. Gebethner i Sp.

— Wacław Wolski: „Powieść tajemna". Kraków, Gebethner i Sp, 1908.

— Jerzy Gościcki: „Rolnictwo, polityka agrarna i samorząd w Anglji" Odbitka z „Ekonomisty". Warszawa. Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1908.

— Michał Sobecki: „Żeromskiego Dzieje Grzechu". Warszawa, 1908. E. Wende i Sp.

— Zofia Wójcicka Chyłowska: „Listy do Pana Boga. Spowiedź grzesznej dziewczynki".

— Maurycy Leblanc: „Arsene Lupin Gentleman—włamywacz", z przedmową Juljusza Claretie. Nakładem księgarni kolejowej H. Altenberga we Lwowie.

— Władysław Orkan: „Miłość pasterska". Lwów, 1908. Nakładem Tow. wyd. E. Wende i Sp. H. Altenberg we Lwowie.

— Wilhelm Fedman: „Współczesna literatura polska" 1880 — 1904 r. J. Belcikowskiego.

— Leopold Staff: „Gałąź Kwitnąca". Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp.

— Cyprjan Norwid: „Wybór poezji". Zebrał i objaśnieniami zaopatrzył Roman Zrębowicz. Lwów. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Sp.

— Bronisław Miakowicz Wysoczański: „Dziki gęsior". Nakładem Księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp.

Do obecnego numeru dołączamy listy zwrotne.

„Wielkiej Encyklopedji Powsz. Ilustr."

WYSZEDŁ Z DRUKU

Serji II-ej: Tom VI zbroszurowany

Cena Rb. 4.

TOM V/VI W OPRAWIE

Cena Rb. 9 kop. 60.

Administracja **Nowy-Świat 47.**

Ostrzega się przed nabywaniem tomów i zeszytów **Encyklopedji** od agentów, nie mających upoważnienia Administracji.

PISMA

Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Beruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

Tom II: Tragikomedja prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20** (w druku).

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.** (w druku).

Tom IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wizar, Regina. **Rb. 1 kop. 60.**

Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20** (w druku).

Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy*.

„Kultura Polska"

M I E S I Ę C Z N I K,

organ Towarzystwa Kultury Polskiej

pod redakcją **Aleksandra Świętochowskiego**

wychodzi w Warszawie od Nowego Roku.

Prenumerata: dla członków T. K. P. — rb. 2 kop. 25, dla nieczłonków rb. 3 kop. 25 rocznie z odnoszeniem i przesyłką.

Prospekt z numerem okazowym wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Od Administracji

„Wielka Encyklopedja Powsz. Ilustr."

Wskutek reklamacji wielu osób, że od dłuższego czasu nie otrzymują dalszego ciągu **„Wielkiej Encyklopedji Powsz. Ilustr."**, dostarczanej im zazwyczaj przez **p. St. Uszyckiego**, czujemy się w obowiązku zawiadomić wszystkich jego odbiorców, że **p. St. Uszycki** już od lat 2 przeszło kolporterję „Encyklopedji" zaniedbał i **nadal zajmować się nią nie będzie.**

Wobec tego upraszamy Sz. Prenumeratorów o] spieszne zgłoszenie się bądź listownie, bądź osobiście wprost do **Kantoru Administracji „Wielkiej Encyklopedji Powsz. Ilustr." 47 Nowy Świat 47**, po odbiór zaległych zeszytów i tomów, lub też o zapisanie się na listę stałych prenumeratorów, abyśmy mogli zarezerwować dla Nich odpowiednią ilość egzemplarzy wydawnictwa.

JERZY SIMMEL

FILOZOFJA PIENIĄDZA

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁ

LEO BELMONT.

Cena rb. 2, z przesyłką rekomendowaną rb. 2 kop. 30.

Do nabycia w Administracji „Prawdy."

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologji**—rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologja dziecka**—rb. 2.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologji** — rb. 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** — rb. 1.

H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.

K. Lewald. **Historja XIX w.**, od r. 1800—1888 — rb. 3. k. 30.

Prof. R. Falkenberg. **Historja filozofji nowożytnej**, w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

Encyklopedja dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Wincenty Biskupski. Redaktor: Roman Nowakowski.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.